Nr. 31. Poznań, Niedziela, dnia 3-go Sierpnia 1902 r. Rok VI.

PRACA

Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1,25 mk.**; *na poczcie w Austro-Węgrzech* **1 kor. 73 ha**

Pod opaską: *w Niemczech* **1,90 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **2 kor. 30 hal.**, *za Oceanem* **1 dolar 25 cent.**

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.

Złe sumienie.

W jednym z ostatnich numerów zamieściliśmy dla współobywateli-rodaków kilka przestróg i uwag w sprawie uroczystego przyjęcia cesarza Wilhelma II-go w Poznaniu. Poczytaliśmy sobie nasamprzód za obowiązek wyrazić szczerze uczucia nasze i objawić to usposobienie, jakie wyrobiły w społeczeństwie polskiem antypolskie prawa, wrogie zapędy hakaty i w końcu enuncyacye monarsze; jako drugą powinność uważaliśmy napomnienie, ażeby w chwili uruchomienia całej falangi tajnych agentów policyjnych miano się szczególnie na baczności i nieostrożnemi słowy nie narażano się na śledztwa, procesy i kary.

W sposobie naszym traktowania sprawy pobytu cesarza w Poznaniu nie przejawiała się obawa jakichbądź anarchistycznych knowań, ale raczej troska o to, ażeby zbytnia krewkość w wyrażaniu uczuć narodowych nie sprowadziła klęsk na niewinne jednostki i rodziny. To zaś, co się w artykułach naszych wyrażało, nie było wyłącznie naszem zdaniem, ale odzwierciedleniem zapatrywań i przekonania ogółu polskiego.

Tymczasem cóż się dzieje? Oto prasa niemiecka, a szczególnie ta, która najbardziej ujadała na nas i dęła w trąbę polakożerczych haseł, popadła w niepokój, że się „cesarzowi coś złego przydarzyć może w Poznaniu z powodu wrogiego nastroju ludności, podrażnionej i poduszczonej przez polskie dzienniki."

Tak oto zaznacza się *złe sumienie* owych łajdaków, którzy jak zwierzęta dzikie i drapieżne, zieją żądzą zagłady względem własnej ofiary. Jeszcze w ich sercach snadź pozostała jakaś odrobina człowieczeństwa — trochę sumienia, co przywodzi im do pamięci krzywdy straszne, od stu lat przeszło polskiemu narodowi zadawane i wzbudza w nich trwogę, że krzywda wyrządzona jakąś chęć zemsty pobudzić, roznamiętnić pokrzywdzonych, sfanatyzować może! Te spodlone kreatury czują jeszcze resztką ludzkich uczuć, że wrogie polskości szaleństwa zdołają z natury rzeczy rozkiełznać do odwetu instynkty złowrogiej namiętności a ztąd owo trąbienie na larum, że monarsze w Poznaniu „niebezpieczeństwo grozi." Wyrafinowana podłość hakatystycznej prasy wysnuła sobie oczywiście zaraz wyjaśnienie, zkąd pochodzi ów „groźny" dla osoby cesarza nastrój ludności. Nic innego oto, jak tylko podbechtywanie w prasie polskiej roznamiętniło ludność, jakby nieczułą na żadne krzywdy, żadne upośledzenia, żadne prześladowania.

O wy nędzne pismaki, wy płazy własną nikczemnością spodlone, wy, co chełpicie się z waszej beztrwogi, a niemacie już nawet odwagi wyznać przed światem, że was ostatek sumienia dręczy i niepokoi. Wyrzućcież z siebie tę resztkę ludzkich pierwiastków, co wam spokoju nie daje i jako złe sumienie prześladuje, a nie trwóżcie się niepotrzebnie o niebezpieczny dla osoby niechętnego nam i nieżyczliwego władzcy nastrój ludności polskiej.

Nie naszem zadaniem wyprzedzać wyroki boże, a w knowaniach anarchistycznych i skrytobójczych zamachach szukać zaspokojenia pragnień i ukojenia bólów, niemiecką zadawanych nam dłonią. Nie dla nas ślepych żądz porywy, — dla nas wiara, ta wielka, gorąca i niezłomna wiara, że nad wszelkiemi nieprawościami świata jest wielka choć nieodgadniona i nie rychła sprawiedliwość Stwórcy, że nad całym światem i wszelkiemi jego potęgami, że nawet nad reklamowaną „pięścią żelazną" jest nieskończenie większa Wszechmoc boża...

Obawa wyrażona przez dzienniki polakożercze, a przedewszystkiem przez wolnokonserwatywną „Post", udzieliła się widocznie wyższym sferom. Wnosić to można z głuchych na razie wieści, że w pierwotnym programie ceremonii cesarskich w Poznaniu zaszły poważne zmiany. Przyjęcie ma

podobno zachować czysto wojskowy charakter, a wszelkie owacje ze strony obywatelstwa poznańskiego monarcha sobie „wyprosił.“ Okna domów ze strony ulic i placów w czasie wjazdu cesarskiego mają być, jak mówią, szczelnie zamknięte, na balkonach pobyt ma być wzbroniony, wielka trybuna, zaprojektowana przy bramie berlińskiej, na której zaprezentować się mieli przedstawiciele władz miejskich, radni, dziewice honorowe i tym podobne żywe osobliwości, niema podobno być wzniesioną. Tak samo pogardził monarcha — jak donoszą dzienniki niemieckie, „napojem honorowym“ (czyli Ehrentrunkiem) przy wjeździe do miasta i innemi owacjami. Wjazd o militarnym charakterze, ma się równać *pochodowi do zdobytego miasta, aby Polakom pokazać, kto tu panem w tej dzielnicy.*“

Jestto rzeczą dzienników niemieckich podsuwać osobistościom kierowniczym i decydującym o kwestyi przyjęcia cesarza w Poznaniu taką małoduszność, jaką wydaje nam się owa chęć „pokazania“ Polakom, kto tu panem domu“. Nas takie „pokazanie“ ani ziębić ani parzyć nie będzie. Czujemy bez uroczystych przyjęć i wjazdów paradnych bardzo dobrze, że jesteśmy w niewoli, a wszelkie chęci przypominania nam tego, o czem tak dobrze pamiętamy, uważać możemy chyba tylko za *prawdziwie pruskie.* Chęci takie ani nie wybiją nas z równowagi ani też nam nie zaimponują. Zaimponowaćby nam mogły chyba tylko objawy jakiej ludzkiej i chrześcijańskiej wyższości, jakaś potęga rozumu i sprawiedliwości, jakiś objaw wielkoduszności — ale tego się nie spodziewamy, a dlatego też wszelkie ceremonie, podobnemi chęciami natchnione, zupełnie nas ciekawić nie mogą. Niewiemy, o ile nakaz pozamykania okien i balkonów jest i będzie przykrym dla pruskich patryotów i patryotek. Co do nas, to zdaje nam się, że jeźli istotnie zkądbądź go wydano, to jest spóźniony, bo podobno polskie okna nie miały zamiaru się otwierać, ażeby nie budziły mylnego przypuszczenia, że się koniecznie narzucać chcemy niełaskawym na nas wysokim i najwyższym osobistościom. Będziemy ot sobie z naszemi szczeremi polskiemi uczuciami zamknięci w sercach i w mieszkaniach.

Vester.

Równość i swoboda obywatelska w Prusach.

Od tygodnia przeszło zajmuje opinią tutejszą niezmiernie interesująca i charakterystyczna sprawa dyrektora ceł i podatków na prowincyą poznańską, tajnego wyższego radzcy skarbu Loeninga, złożonego obecnie z wysokiego swego urzędu.

Okoliczności i powody, jakie poprzedziły dymisyą, zasługują na szczególną uwagę. Z ogłoszonego przed kilku dniami w „dziennikach niemieckich“ wyjaśnienia sprawy, wynika, że pierwszą przyczyną usunięcia p. Loehninga ze stanowiska było zawarcie związku małżeńskiego z panną Coccius, córką sekretarza rejencyjnego.

Dyrektor Loehning poznał swą obecną żonę na zabawie Towarzystwa niemieckich katolików w lokalu Taubera. Wkrótce nastąpiły zaręczyny. Powróciwszy do domu po zaręczynowym akcie, zastał p. Loehning list bezimienny z ostrzeżeniem, ażeby się do rodziny Cocciusów nie zbliżał i z uwagą, że sekretarz Coccius był dawniej feldfeblem tylko. Nazajutrz udał się p. Loehning do ks. prebendarza Klinkego z prośbą o informacye dotyczące familii narzeczonej. Z ust tego duchownego usłyszał, że rodzina jest zacną, a córka, którą poślubić zamierza, jest dziewicą dobrze wychowaną, wykształconą, miłą i cnotliwą; ks. Klinke nie taił jednak, iż zaręczyny p. Loehninga z tąż panną wielkie wywołują zdumienie z powodu panującej w Poznaniu kastowości.

Po ogłoszeniu zaręczyn w gazetach poznańskich wszyscy wybitniejsi urzędnicy i ich żony, z wyjątkiem naczelnego prezesa, generalicji i prezesa policyi, przesłali p. Loehningowi gratulacye. Niektórzy z nich osobiście wraz z żonami złożyli mu swe życzenia. Było to w drugiej połowie lutego.

Dnia 3 marca przybył do p. Loehninga tajny radzca skarbu z ministerstwa, p. Enke, z oświadczeniem, że minister z powodu zaręczyn tych jest bardzo rozgniewany i domaga się, ażeby p. L. poprosił o dymisyą. Jednocześnie zarzucił p. Encke dyrektorowi Loehningowi, że *„się odzywał nieprzychylnie o polityce rządu przeciwko Polakom“* i że „urzędnikowi Michalskiemu we Wschowie nie dał wygoworu za to, iż przy wyborach oddał głos na Polaka“. Gdy następnie p. Loehning udał się do naczelnego prezesa na specyalne zaproszenie, usłyszał następujące wymówki: „Zaręczyłeś się pan z córką sekretarza rejencyi Cocciusa; osobie pańskiej narzeczonej niczego zarzucić nie można podług zasięgniętych przezemnie informacyi. Wszelako jako dyrektor prowincyonalnego urzędu celnego nie możesz pan się żenić z córką feldfebla tak samo, jak tego uczynić nie może żaden pułkownik. Jaki wyższy radzca rejencyjny nareszcie mógłby sobie ostatecznie pozwolić na taki ożenek, nie zaś pan, jako reprezentant jednego z pierwszych urzędów prowincyalnych. Tego samego zdania jest też komenderujący jenerał, z którym kilkakrotnie konferowałem. Pańskie poglądy na politykę antipolską, o których mi wspomniał wyższy radzca rejencyjny p. Gesch, nie mogą panu karku złamać (sic). Co do zaręczyn pańskich atoli musi się pan liczyć z tutejszemi poglądami. Nie uczynił pan tego, zatem musi pan konsekwencye tego ponieść“.

Z dalszych szczegółów zasługują na wzmiankę przesłuchy tajnego radzcy ministerstwa Enkego wśród podwładnych p. Loehningowi urzędników. Jeden z nich, tajny radzca Gesch, chętnie zeznawał, iż p. Loehning po posiedzeniach i przy innych

okazyach wobec kolegów potępiał zaczepną antypolską politykę, że się starał wpłynąć w tej mierze na kolegów i że zwłaszcza sprawę wrzesińską kilkakrotnie krytykował.

Dalsze wynurzenia dyrektora Loehninga rzucają bardzo jaskrawe światło na usposobienie najwyższych sfer rządowych pod względem kastowości w społeczeństwie niemieckiem, a zarazem pod względem antypolskiego ducha. Ponieważ p. Loehning, idąc za wyborem serca, nie baczył na stanowisko podrzędniejsze ojca narzeczonej, a kierując się sprawiedliwością, ganił też krzywdzącą politykę antypolską, więc pierwsze i drugie spleciono w jedno, ażeby go spędzić z wysokiej posady. Wszelkie usiłowania i zabiegi czynione w Berlinie pozostały bezowocnemi; ani dowody, że narzeczona jest osobą zacną i wielkiemi odznaczającą się zaletami, ani też zapewnienie lojalności wobec rządu mimo odmiennych w kwestyi polityki antypolskiej przekonań nie zmieniły sytuacyi. Nie tylko nie chciano p. Loehninga pozostawić na stanowisku dyrektora ceł w Poznaniu, ale nawet na przesiedlenie jego w równowartościowym charakterze nie chciano zezwolić. Pokrzywdzony urzędnik ostatecznie zgodził się na pensyonowanie od dnia 1 lipca r. b.

Gorycz, z jaką p. Loehning opisuje teraz przebieg poprzedzający dymisyę, zrozumieć łatwo. Broniąc prawa swobody, przysługującego każdemu obywatelowi w wyborze żony, wyznaje on pod koniec swej deklaracyi otwarcie, że „jak większa część wyższych urzędników, tak i on jest przeciwnikiem hakatyzmu".

Już kilka miesięcy przed zaręczynami swemi pisał p. Loehning do komisarza ministeryalnego: *„Uważam hakatyzm i obecne wpływy jego za zgubne dla prowincyi i wręcz za szkodliwe dla niemczyzny"*. Teraźniejszemu naczelnemu prezesowi oświadczył też przy sposobności, że wskutek swego łagodnego usposobienia nie byłby odpowiednim człowiekiem do przeprowadzenia polityki obecnej. Mówił nadto, że nie zazdrości odnośnym panom ich urzędu. Temu samemu naczelnemu prezesowi zaś odpowiedział, iż uważa sprawę wrzesińską za wielki błąd, na co tenże odrzekł, iż i on ją „uważa za niemiłą, lecz ani jej nie spowodował ani nie mógł jej przeszkodzić".

Na koniec warto przytoczyć z wyjaśnień p. Loehninga i to, że obecnie już w administracyi cłowej Polaków na urzędach nie zatwierdzają mocą specyalnych przepisów.

Tak się przedstawia wolność konstytucyjna i równość obywatelska w Prusach podług wyłuszczeń pokrzywdzonego na jednym z najwyższych urzędów Niemca. Swoboda uczuć i zapatrywań jest czczym frazesem tylko! Przekonania polityczne stosować należy do każdorazowego prądu rządowego, a pokochać, zaręczyć i zaślubić wolno tylko podług recepty kastowej. Gdzież tu idea konstytucyi, gdzie równouprawnienie obywatelskie, gdzie poszanowanie wolności w zakresie prywatnego życia?

Poświęciliśmy więcej miejsca ciekawej sprawie dyrektora Loehninga, ponieważ w niej przejawia się wyraźnie niezdrowisko ustroju społecznego, rządowego i politycznego w Niemczech. Takie wypadki tworzą rozłam wśród Niemców, sieją rozkładowe pierwiastki, rodzą setki i tysiące niezadowolonych. Bierna natura urzędnicza, nie wystąpi na razie oczywiście pod postacią jakiego gremialnego przeciwko kastowości podobnej protestu, nie zaoponuje, nie upomni się o równouprawnienie. Ale krzywda wyrządzona wysokiemu urzędnikowi z powodu jego liberalizmu, objawionego w obrębie czysto prywatnego życia i politycznych przekonań, odbija się dziś echem po całych Niemczech, wywołując wszędzie zdumienie. W tej krzywdzie przejawia się wstecznictwo źle wróżące o przyszłym rozwoju społecznych i politycznych stosunków w Niemczech.

Verus.

Opinia publiczna drzemie.

Zewsząd otaczają nas wrogie zastępy, zewsząd patrzą ku nam wzrokiem żarłocznym setki dział nieprzyjacielskich. Jedno z nich bije w stronę młodzieży naszej, łamie jej szeregi, zwala z nóg tylu pragnących, tylu chcących, tylu tęskniących za pełnią życia wśród swoich dla swoich, kruszy siły narodowej przyszłości. Drugie skierowane dłonią barbarzyńską w stronę, gdzie schroniły się kobiety słabe z nieletniemi dzieci, a nasycane przez zaciekłe żołdactwo ołowiem ulanym w ogniu nienawiści wali w matki, wali w dzieci, wali bezwzględnie a przeciągle — bo tam poza szeregami, tam w sercach matek płoszony i dręczony gniazdo ulepił sobie duch języka ojczystego i stamtąd wylata, by roztaczać swe skrzydła ponad dziatkami drobnemi. A z rana wydano rozkaz: Wytępić polski język! — Tam zaś na wzgórzu zajęło miejsce działo najpotężniejsze. Ono nie rzuca kul druzgocących w ludzkie szeregi, zadaniem jego łamać mury zagród naszych polskich, rozdzierać okopy nasze, sypać ruiny po kraju całym, wryć się w ziemię jaknajgłębiej, rozszarpać ją, wygrzebać doły i przepaści, by nie mieli poczem chodzić, by nie mieli z czego żyć, by nie mieli... ziemi... Z czającą się, kocią chytrością błądzą lunety oficerów działo otaczających po przestrzeni i szukają, szukają. Nagle lunety zatrzymały się, szczęknął krzyk rozkazu i huknęło działo. Ruina... Kawał ziemi nam porwano. I niema tam po czem chodzić, niema z czego żyć, niema ziemi...

I tak co chwilę rozkaz, co chwilę grzmot działa, co chwilę mina!

A my w szeregach, a przewodnicy nasi smutno zwieszają głowy i czoła marszczą i myślą, co robić, jak się bronić i z dreszczem spoglądają w przyszłość ku owej strasznej chwili, która nadejść może, gdzie zupełnie zbraknie nam... ziemi...

Co robić?!

Spojrzycie tylko na działo i na otoczenie jego. Ktoż to tam kręci się między oficerami, któż wskazuje ręką na zagrody nasze, ku którym zaraz kierują się lunety dowódzców, kto dowódzcom tym szepce do ucha jakieś ważne zda się słowa? Wszakże wczoraj tenże sam chodził między naszymi szeregami, wszakże zasiadał z nami do ognisk wieczornych. Kiedy z boleścią mówiliśmy o stratach naszych, on milczał, milczał. A kiedyśmy zaśmiali się na chwilę z wesołej jakiejś myśli, on śmiał się z nami, śmiał się głośno, stawał się sam dowcipnym i rzucał na

wsze strony dowcipami, głupstwami, błazeństwami, by śmiać, by nas rozśmieszyć, byśmy śmiali się, byśmy ciągle i ciągle się śmiali, a nie wracali do owych smutnych bolesnych myśli. Tych on nie rozumiał, nie odczuwał.— A wieczorem po biesiadzie zniknął. Dopiero teraz znowu go widzim, ale po tamtej stronie, ale we wrogim obozie, jak chytrze skacze naokół największego działa, jak dowódzcom radzi, jak dłonią wskazuje, gdzie walić, gdzie burzyć, on *nasz*, on *rodak!* Gdy o zachodzie słońca w obozie naszym odczytają raport dnia, spisany przez kierowników, dowiedzą się szeregowcy, iż zburzono dzisiaj twierdzę tę a tę i że „niestety jeden z rodaków do tego się przyczynił.“ Pomruknie sobie kilku z oburzenia i zaczniem wypoczywać po walce. Ale za chwilę, czekajcie, przyjdzie na odpoczywanie i ów znajomy z wczoraj. Śmiałym, bezczelnym krokiem wejdzie między szeregi nasze i dojdzie do namiotu, w którym wczoraj siedział i znajdzie tam krzesło swoje niezajęte, niewyniesione, gościnne jak dawniej i znajdzie dłoni tyle gotowych do uściśnięcia jego dłoni, tej zdradzieckiej dłoni, która dzień cały wrogom służyła. Ten i ów zadąsa się początkowo, ale za chwilę zapomni się wszystko, wszystko się wybaczy... I bohater nasz między n[illegible] będzie i śmiać się i bawić i [illegible].

Lecz jutro, jutro... Cha, jutro on wróci na stanowisko tam na wzgórzu. Tam dobrze płacą za kiwanie palcem, za wskazywanie. Czemu nie kiwać, czemu nie wskazywać?! Przecież wieczorem swoi znowu mnie przyjmą, przecież zapomną wszystko, wybaczą wszystko, przecież *przyzwyczają się* do wszystkiego.

Więc cóż? Do widzenia jutro wieczorem! Będziem się śmiali, no i pili... razem... razem!

Więc co myślicie o tym, „obywatelu?“ Zdrajca to czy przyjaciel, podlec czy „dobry człowiek?“ Co myślicie wy, wszyscy dowódzcy nasi, wy, kierownicy opinii, pracownicy na polu prasy, co myśli *społeczeństwo?* — . . . .

Prasa nasza wogóle — tego zaprzeczyć nie można — stósownie napiętnowała sprzedawczyków, dostawców dla komisyi kolonizacyjnej, prasa naraziła się nawet niekiedy na procesy i kary i prasa była wtenczas głosem ogółu społeczeństwa.

Ale chociaż prasa i społeczeństwo *w zasadzie* wydała i wydaje wyrok potępienia, w poszczególnych wypadkach zdaje się różniczkować. Na jednych rzucamy gromy, na drugich wskazujemy już tylko palcem, na trzecich zaś spojrzymy jedynie z boku trochę niechętnie... i nic więcej. Różniczkujemy, chociaż różnicy więcej nie widzimy. Robimy różnicę raz z urojonego obowiązku brania względów na rodzinę lub t. p., raz ze względów czysto osobistych, raz zaś dla chwilowych humorów. I nie spostrzegłszy się wcale, w taki sposób tracimy zdanie o czynach tego rodzaju, tracimy zdolność sądu, zamiast bezwzględnego potępienia bawimy się w wymijające słówka i pomału, po mału *przyzwyczajamy* się do czynów, które niedawno słusznie były w oczach naszych najhaniebniejszemi *zbrodniami* narodowemi, przyzwyczajamy się do ludzi owych, których niedawno bylibyśmy nazwali zbrodniarzami, ba, ściskamy się z nimi, żyjemy z nimi.

Gdy przed niedawnym czasem powiększano amunicyą rozszarpującego skiby nasze działa komisyi kolonizacyjnej, wówczas otwarcie i śmiało powiedzieliśmy, co myślimy o takich Buelow'ach, o takich Rheinbaben'ach, co myślimy o oficerach, pod których dowództwem wysyłają przeciwko nam burzące pociski, — powiedziała prasa, powiedzieli posłowie nasi. Ale czyż owi „nasi“, owi zdrajcy, — a jest ich niemało — co wskazują drogę wrogim dowódzcom, nie zasługują na wiele ostrzejsze, na najostrzejsze potępienie? Oni więcej szkodzą niż owi wrodzy komendanci. Gdyby nie oni, lunety długo by się chwiały, długo by szukały, nim by ofiarę znalazły. Ale cóż — my nieomal milczymy. Niedawno obywatel poznański posiadający także dobra wiejskie sprzedał je, — bez zmuszającej potrzeby — Niemcowi. Jedno z pism poznańskich, uważające się za najpoważniejsze podało o tem krótką notatkę — w rodzaju owego wyżej wspomnianego raportu, — gdzieś w końcu wiadomości pobocznych, zupełnie w tyle za doniesieniem o koniu, który na Chwaliszewie nogę sobie wywichnął. A gdy nieomal dzień później dobra już znalazły się w pazurach komisyi kolonizacyjnej, znowu znaleźliśmy krótką odnośną uwagę, znowu poniżej wszystkich wiadomości o wiązaniu psów i. t. p. a najbliżej humorystyki kończącej w temże piśmie często wiadomości potoczne. Skutek był oczywiście ten, że niejeden, który nie odczytuje całej ewangelii potocznych wiadomości, a nie spodziewa się by po nodze zwichniętej konia, albo po psach wściekłych mogły jeszcze nastąpić wiadomości obchodzące cały zdrowy, a nie spodlony ogół, wiadomości o zbrodni przeciwko narodowi, o niej wcale się nie dowiedział. *Czy o ten skutek istotnie chodziło?* — Biada nam, jeżeli tak myśleć poczniemy! Biada nam, jeżeli zapomniemy, czem jest każdy dobrowolny kolonizator!

Kto przechodzi do obozu wroga, kto kupczy zbolałem ciałem naszej Matki-ziemi ojczystej, ten jest *zdrajcą* pospolitym, po trzykroć *zdrajcą*. *I jak ze zdrajcą obchodzić nam się z nimi należy.*

U nas jest pewna opinia publiczna, jest i żyje. Ale drzemie, drzemie coraz mocniej. Niechaj prasa, niechaj społeczeństwo, niechaj, kto żyw, a w kim płynie krew polska, zbudzi ją, zbudzi jaknajprędzej, *by nie było za późno!*

Wtedy wreszcie dla zdrajców zamkną się szczelnie i na zawsze drzwi każdego uczciwego domu polskiego, *wtedy nie znajdzie się żadna szlachetna dłoń polska, która mogłaby się dotknąć zdradzieckiej dłoni*, wtedy społeczeństwo polskie, jeżeli nie chce się hańbić i zginąć, wypędzi zdrajców ze swego koliska.

A czas na to wielki, czas na zbudzenie się opinii.

Przecież chyba wszyscy wiemy, że *po bruku poznańskim zdrajców chodzi wielu — chodzi i... żyje z nami w najlepsze!*

Czujny.

Bezkarne bluźnierstwa.

W czasach, gdy każda śmielsza narodowa myśl polska, każde gorętsze słowo podlega surowej cenzurze, a często nawet wiedzie do więzienia redaktorów naszych, niemieccy pismacy rozzuchwaleni, butni i bezczelni, rzucają nam często w twarz obelgi, na które jakby nie było ręki karzącej.

Nie tylko narodowość nasza, ale nawet religijne nasze obrządki, będące dla nas świętością, biorą sobie często nędzne kreatury dzinnikarstwa polakożerczego za przedmiot nikczemnych zaczepek i urągań.

I tak, gdy w pismach polskich była mowa o tem, że dla zbiegłej do Lwowa ofiary wrzesińskiej, Piaseckiej, urządzono tam składkową pralnią i że pralnia ta ma być przez kapłana poświęconą, „Kujawischer Bote“ z niebywałą bezczelnością dorzuca od siebie uwagę, że „poświęcenie ma się rozpocząć długotrwałem, przeciągłem „psia krew“ a reszta uroczystości mieć będzie podobny charakter.“

Oto do czego dochodzi polakożercze rozzuchwalenie! Za wiele sprawiałoby się honoru pruskiemu pismakowi na Kujawach, gdyby się miało dozna-

wać obrazy z przyczyny głupiej uwagi powyższej. Spojrzeć z pogardą, splunąć i przejść mimo — oto najwłaściwsza odpowiedź. Wszelako chodzi o rzecz donioślejszego znaczenia.

Religia każda, jej świętości, obrządki i ceremoniały są nienaruszalne. Uszanować je winien podług prawa każdy obcowyznaniec jako czynniki, które są bardzo ważnemi środkami w zachowaniu porządku społecznego, dobrych obyczajów i publicznej moralności. Z tego więc powodu wszelkie naruszanie ich świętokradzkie lub znieważanie podlegać powinno i podlega też karze. A czemże jest czynione urąganie aktowi poświęcenia, w przytoczonych powyżej słowach „Kujawischer Bote"? Niejestże to znieważaniem ceremoniału religijnego, który porówno w Galicyi jak w Wielkopolsce szanujemy, jako cząstkę naszych religijnych obrządków. I to śmie czynić taki scribifax marny publicznie, ażeby się cały zastęp czytelników jego wspólnie z nim natrząsał z tego, co jako wierni katolicy szanujemy?

Niejednokrotnie już zdarzyło się, że zaciekłe w antypolskim swym szale pisma niemieckie miotały zniewagi plugawe na to, co nam święte. A my poprzestajemy na powtórzeniu ohydy i jakiej ostrej uwadze, zapominając o tem, że mamy takie samo prawo dopominać się o poszanowanie naszych świętości, co Niemcy.

Gdy coraz więcej rodaków naszych cierpi w murach więziennych za lada śmielszy wyraz przekonań lub uczuć, my wszelkie zniewagi puszczamy bezkarnie, rozzuchwalając butną rzeszę polakożerców do coraz śmielszych zaczepek. Nie powinniśmy zapominać, że znieważanie religii jest bardzo ostrym środkiem „pobudzania do gwałtów", a pobudzanie takie podlega karze. Powinni się znaleść w Inowrocławiu i okolicy obywatele, którzyby bluźnierstwo powyższe oddali w ręce prokuratoryi.

Ordon.

Gadziny o wielkim mężu i kapłanie.

Jedną z zwykłych miar do należytego ocenienia wielkości ludzkiej jest nie czasem to, co o wybitnych mężach mówią za życia, lecz to, co o nich mówią i piszą po *śmierci*. Dopiero wówczas bowiem, gdy już ich niema między żyjącymi, gdy milkną wszelkie względy i względziki słabostek ludzkich, rozwięzują się języki do wypowiedzenia *prawdy*. Niejednego, którego za życia, ponieważ miał w swem ręku siłę i władzę, pod niebiosa wynoszono — po śmierci z błotem mieszano, podczas gdy znów innych, zohydzanych i oczernianych za życia, dopiero po śmierci uznawano za prawdziwie wielkich i godnych podziwu.

Zmarł wielki nasz wódz, opiekun i ojciec duchowny, kardynał *Ledóchowski*. My wiemy, że był to prawdziwie wielki kapłan, wybraniec i pomazaniec Boży. Przypuśćmy atoli, że znalazłby się ktoś, któryby za życia jego nic o nim nie słyszał, nie wiedział, i że ten ktoś dostałby do rąk po jego śmierci tylko te organa prasy niemieckiej, które niegdyś wielkiego kardynała tego obrzucały tylko błotem i jadem oszczerstwa i nienawiści. Jakież tedy z pośmiertnych o nim głosów tej właśnie prasy powziąć by mógł wyobrażenie?

Otóż tylko takie, że i ta prasa, mimo całej swej do osoby ś. p. zmarłego nienawiści, uznaje w nim męża *prawdziwie wielkiego*. Po śmierci jego dopiero — mimowoli, wbrew zaciekłej swej złości, ujrzała się zmuszoną również uderzyć przed nim czołem.

Dawno już, a może i nigdy jeszcze nie pisano o zmarłym Polaku w gazetach niemieckich tyle, co o ś. p. kardynale *Ledóchowskim*. Jak Niemcy długie i szerokie, nie znajdziemy w nich pisma lub pisemka nawet, któreby mu nie było poświęciło obszerniejszego wspomnienia. Nie od rzeczy więc będzie, przyjrzeć się dziś bliżej tym głosom prasy niemieckiej. Rozsortujmy, rozdzielmy je należycie.

Wykluczamy więc nasamprzód z pism niemieckich wszystkie gazety *katolickie*. Te bowiem nie mogły ganić lub zaczepiać księcia kościoła, zajmującego najważniejsze po Ojcu św. stanowisko, a właśnie około kościoła i religii tak bardzo zasłużonego. Z konieczności więc — musiały go wielbić i chronić, chociaż był... Polakiem. Potem podzielimy prasę niemiecką niekatolicką jeszcze na dwie części. Pierwszą stanowić będą te wielkie i bogate pisma, które posiadając wśród współpracowników swoich ludzi uczonych we wszystkich dziedzinach, mogły o zmarłym kardynale wypowiedzieć *własne* swe zdanie; drugą ta wielka rzesza pism pomniejszych, która mądrość swą czerpie z biur prasowych niemieckich, dziś przeważnie hakatystycznych, zwłaszcza gdy chodzi o Polaków.

W pierwszej części, w pismach wielkich — panuje większa rozmaitość, każde bowiem ocenia ś. p. zmarłego z własnego punktu widzenia, odpowiednio do swej tendencyi politycznej. Przeważnie traktują go jako wroga, lecz jako — *wielkiego* wroga niemczyzny. Żadne jednakże, mimo całej swej nienawiści do kościoła katolickiego, Polaków i ś. p. kardynała, nie śmiało zaczepić czystości jego charakteru, jego serca i duszy. Był to — zdaniem ich wróg groźny, straszny, ale czysty w swych intencyach, potężny siłą przekonań, zasad i ducha. Ze słów, jakiemi się posługują, ze zdań, w które ubierają swe myśli, wynika jasno, jak trudno, jak boleśnie było im to przyznać, jednakże nie mogły inaczej go osądzić. Snać obawiały się, że gdyby bezwzględnie dały folgę jedynie nienawiści swej, *historya*, ten nieubłagany sędzia wypadków i ludzi, rychło kłam by im zadała.

Nawet oto tak nienawidzące Polaków pismo, jakiem są berlińskie „Neueste Nachrichten" zniewolone były zaznaczyć: Także w chwili najzaciętszego sporu z rządem, w chwili, gdy wieziono go do kaźni ostrowskiej — nie brakło mu pewnej wielkości...

Wszystkie gryzą i kąsają wielkiego księcia kościoła, jak i gdzie mogą, ale nawet wśród tej wściekłej zaciekłości brzmi jakby hołd uznania dla niego...

Najciekawsze to, że kilkanaście z tych organów usiłuje koniecznie zareklamować ś. p. kardynała Ledóchowskiego — przynajmniej na czas *ostatnich lat życia jego, — jako przyjaciela Niemiec*! Tłomaczą to zaś tak: Kardynał Ledóchowski był wrogiem Niemiec, dopóki trwała walka kulturna, dopóki na czele rządu niemieckiego stał osobisty jego nieprzyjaciel Bismarck; równocześnie atoli był wrogiem *Rosyi*, depcącej brutalnie nietylko prawa Polaków, ale i katolików, i wrogiem *Francyi*, prześladującej pod rządem republikańskim kościół katolicki. Gdy jednakże ustąpił książę Bismarck, gdy Niemcy zaczęły się starać o względy Stolicy św., i gdy z drugiej strony ta Stolica św. aż nadto okazywała pojednawczości właśnie względem Rosyi i Francyi, kardynał zmienił swe zdanie, zwalczał ruso- i frankofilską politykę kardynała Rampolli i starał się oprzeć politykę Watykanu na dobrych stosunkach z Niemcami...

Historya wkrótce już wykaże, ile w tem twierdzeniu mieści się prawdy. My z góry przypuszczamy, że jest ono bezpodstawne, twierdzimy raczej, że ś. p. zmarły *nie mógł być* zwolennikiem państwa, które tak srogo obchodzi się z *polskimi* katolikami. Pod względem psychologicznym zresztą rozumiemy dobrze ten manewr pism niemieckich, zareklamowania ś. p. zmarłego jako przyjaciela Niemiec. W bezgranicznej swej zarozumiałości i manii wielkości uroiły sobie, że każdy *wielki* mąż *musi* być przyjacielem Rzeszy niemieckiej i Prus. Właśnie w tych rozpaczliwych wysiłkach prasy niemieckiej zareklamowania ś. p. zmarłego jako przyjaciela Niemiec

— przebija się największe dla niego uznanie.

Ta część prasy, posiadająca światłych i wykształconych czytelników, musiała się do pewnego chociaż stopnia liczyć z *prawdą*. Swobodniejsza w szerzeniu kłamst i fałszów o nim — była druga część, zasilana przez hakatystyczne biura prasowe, a czytana w szerokich, ciemnych i bezkrytycznych masach niemieckich. Przypuszczaliśmy, że w tej części prasy złość hakatystyczna rzetelnie sobie pohula. Tymczasem i tu — mimo niechęci i oszczerstw słychać wyrazy podziwu i mimowolnego hołdu dla drogiego sercom naszym nieboszczyka. Widocznem jest, że organa te pragnęłyby go zohydzić, zdeptać, sponiewierać, że jednak potęga wielkości jego trzyma na wodzy ich furyą.

Oto jeden z licznych przykładów. Nadesłano nam numer *„Hannoverscher Anzeiger"* — z artykułem wstępnym o ś. p. kardynale. Że artykuł ten pochodzi z biura hakatystycznego, to nie ulega wątpliwości, w dziesiątkach bowiem innych pism prowincyonalnych napotykaliśmy zupełnie równobrzmiące elaboraty. „Hannoverscher Anzeiger" jest — jak powiada w swym nagłówku: *„pismem bezstronnem"*, spekuluje więc także na kieszenie *katolickie*. Jako takie pismo — mógł zamieścić tylko artykuł, szanujący przynajmniej uczucia *katolickie*. Więc krótko tylko zbywa zatarg zmarłego kardynała z rządem w walce kulturnej. Pragnie przytem wmówić w czytelników swoich *niemiecko-katolickich*, że walki kulturnej wcale by nie było, gdyby oto kardynał ten, jako arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, nie był tak strasznie *prowokował* rządu! A dlaczego to uczynił? Dlatego tylko, że w jego sercu obok uczuć katolickich *„mieścił się nieprzejednany polski fanatyzm"*, *ponieważ interesy polskości uważał za identyczne z interesami kościoła"*. Tylko z tego powodu buntował swych rodaków *„przeciwko niemieckiemu porządkowi państwowemu"*. Chodzi przecież o to, ażeby czytelnicy niemiecko-katoliccy uwierzyli, że rząd pruski prześladował nie *księcia kościoła Ledóchowskiego*, lecz tylko — *agitatora polskiego*. Mimo to — i ten organ prowincyonalny zniewolony jest przyznać, że ten agitator i fanatyk polski, ten „hrabia Mirzislaw (sic) Ledochowski — *był bardzo wybitną osobistością, „eine bedeutende Persönlichkeit."*

I tak oto oceniają ś. p. zmarłego wszystkie one — małe gadziny niemieckie. Szkalują i plwają, bo tego wymaga buta i hypokryzya niemiecka, a jednak po za temi ślinami i jadem, korzą się przed nim jak przed *prawdziwą wielkością*, czując widocznie, że *równego mu nie mają w swoim narodzie*.

Tak oto pokonuje wrogów *prawdziwa wielkość*!

Dla nas wielka w tem pociecha. Snać musi być Bóg z nami, jeźli w ciężkiej chwili dał nam taką gwiazdę niezwykłą, takiego apostoła. Czcząc go, czci gadzinowa prasa niemiecka — mimowoli — *naród*, z którego on wyszedł, naród *polski*. Więc i przeciętny czytelnik niemiecki musi sobie powiedzieć: „Dzielny to musi być naród, który takich ma synów — i walka z nim będzie *bezowocną*!"

Niezmierne dobrodziejstwa spłynęły na nas z ręki ś. p. kardynała za życia jego. Krzepił nam serce i ducha, bronił nas i opiekował się nami, a oto i po śmierci — przez wielkość swą pozostaje naszą chlubą.

Będzie on i w niebie opiekunem naszym...

Bogu więc dziękujmy za to, że takie zsyła nam gwiazdy!

Narodowiec.

„Uns auch ein Bataillon!"

„Uns auch ein Bataillon" — wołali między innymi — także „uciśnieni" Niemcy w prastarem naszem *Koronowie* — lecz niestety, rząd okazał się nieczułym na ich prośby i zaklęcia, batalionu niedał, lecz pokazał im — figę.

A tu jak na złość — jakby na większe jeszcze podrażnienie niezaspokojonego ich apetytu w felietonie berlińskiego *„Tageblattu"* niejaki „Georg von der Halde" wylicza sumy, jakie każdy batalion pruski wnosić może do kieszeni niemieckich w polskich miastach.

Batalion — oblicza pan von Halde — liczy przeciętnie 19 oficerów, dwóch urzędników i 564 podoficerów i szeregowców. Oficerowie pobierają rocznej pensyi około 50,000 mk., podoficerowie i żołnierze *gotówką* przeszło 60,000 — razem 110,000 mk. Do tego dochodzi przeszło 80,000 mk. na *wyżywienie* żołnierzy a wraz z *chlebem*, jeżeli kupuje się go od miejscowych piekarzy, z owym sławnym i „strawnym komyśniakiem", blisko *105,000* mk. Nie dość na tem; każdy z oficerów musi przecież mieć pewien dochód *poboczny*, z własnego majątku lub z kieszeni rodziców. Ten dochód poboczny wynosi conajmniej 16,000 mk. przy *jednym* batalionie, do czego jeszcze doliczyć trzeba wydatki *„jednorocznych"*. Razem tedy kosztuje utrzymanie jednego tylko batalionu blisko 250,000, a więc blisko *ćwierć miliona marek* (nie licząc mundurów i broni) — i *tyle gotówki wnosi każdy batalion do wyznaczonego mu na garnizon miasta*.

Cwierć miliona marek! I jakże tu nie wołać: *„Uns auch ein Bataillonchen!!"*

Jeźli bowiem w mieście jest 50 kupców, przemysłowców i dostawców niemieckich, to na każdego przypada rocznie aż 5000 marek, a jeźli jest ich tylko 25, to po 10,000 mk. Za taką kwotę warto przecież być „uciśnionym Niemcem" i.... „dobrym", głośno na Polaków krzyczącym patryotą...

Spodziewać się też należy, że po tem obliczeniu odezwie się jeszcze więcej głosów: „Uns auch ein Bataillon!"

Ale obliczenie to, to nowy dowód, jak wielką wyrządza się nam krzywdę, przez bojkot *polskich* kupców i przemysłowców. Z tych 250,000 mk. ani tysiąc nie dostanie się do rąk polskich, a przecież i lud polski, cały ogół polski płacić musi na wojsko, więc i w tej wielkiej kwocie mieści się dużo — *polskich* tysięcy.

A no! Tak oto przedstawiają się w rzeczywistości — *dobrodziejstwa rządu pruskiego dla Polaków*, na które powołują się tak często ministrowie!

Poznańczyk.

Armeńczycy a... Polacy.

W Brukseli, pięknej stolicy bogatej Belgii, odbył się w zaprzeszłym tygodniu kongres *panarmeński*.

Armeńczycy to — jak wiadomo — naród chrześciański, zamieszkujący obszerny kraj w tureckiej dziś Azyi mniejszej, nad morzem Czarnem i na południe od Kaukazu, a także, w charakterze kupców i handlarzy wszystkie niemal portowe miasta tureckie. Jest to bowiem lud bardzo uzdolniony do wszelkiego rodzaju handlu, niektórzy utrzymują nawet, że sprytem kupieckim przewyższają żydów. W ich rękach spoczywał też w dawniejszych wiekach cały prawie handel między Polską a tureckim, mongolskim i perskim wschodem. Część tych dawniejszych pośredników handlowych pozostała w Polsce, przybrała język, narodowość i obyczaj polski i dała Ojczyźnie naszej dużo zasłużonych mężów. Wspomnimy tylko złotoustego ks. Karola Antoniewicza i wielkiego patryotę Arcybiskupa Issakowicza.

W tym wypadku nie chodzi nam jednakże o polskich Armeńczyków czyli, jak się dziś zowią *Ormian* — lecz o tych, którzy mieszkają w swej ojczyźnie, w Armenii. Tym rządy tureckie strasznie dają się we znaki, a nie tyle jeszcze

sam rząd, ale sąsiadujące z nimi półdzikie szczepy *Turkmenów* — od których Turcy pochodzą. Szczepy te uważają ludność armeńską za żywioł, dany im przez Mahometa na zaspokojenie wszelkich swych potrzeb. Bezustannie tedy napadają wsie i osady armeńskie, mordują tych, którzy śmią się bronić, uprowadzają piękniejsze kobiety, zabierają cały dobytek Armeńczyków. Rząd turecki zaś, zamiast bronić tych spokojnych poddanych swoich, patrzy na te sprawki Turkmenów przez palce, a nawet podnieca ich jeszcze do coraz nowych gwałtów. Każdy przytem urzędnik turecki „drze łyko" z biednego ludu, gnębi go i wyzyskuje ponad wszelką miarę. Nieraz już w ostatnich dwudziestu latach była Armenia polem strasznych rzezi, gdy Turków i Turkmenów ogarnęła sroższa furya prześladowcza; lecz i w zwykłych czasach płynie tam krew armeńska strumieniami, a jęki nieszczęśliwego narodu odbijają się głośno o uszy przerażonej okropnościami temi Europy.

Mocarstwa Europy niejednokrotnie już wywierały nacisk na Turcyą, aby raz wreszcie położyła koniec tej krwawej robocie Turkmenów, a i urzędników swych trzymała na wodzy, ale skutkowało to zwykle tylko na czas krótki. Skoro tylko mocarstwa odwróciły swą uwagę w inną stronę, zaraz mordy i pożogi w Armenii rozpoczynały się na nowo. Energiczniejszemu przytem wystąpieniu mocarstw w tej sprawie przeszkadzała także wzajemna ich zawiść i podejrzliwość. Wiedzą o tem Turcy, i w gruncie rzeczy drwią sobie z napomnień europejskich.

Znaleźli się jednakże we wszystkich krajach europejskich ludzie, którzy postanowili ująć się za nieszczęśliwym ludem i powszechną na jego rzecz akcyą *zmusić* państwa Europy do *stanowczego* wystąpienia przeciwko gwałtom tureckim. Porozumiawszy się tedy z wybitnymi Armeńczykami w kraju i z emigrantami armeńskimi, rozrzuconymi po całej Europie, rozpoczęli nasamprzód kampanią w prasie, w celu poinformowania i pozyskania ogółu. Teraz zaś, gdy już pierwsze to zadanie spełnili, zwołali do Brukseli kongres Armeńczyków oraz wszystkich przyjaciół *Armenii*, aby porozumieć się co do dalszych kroków w tej sprawie.

A był to kongres nie lada. Wzięli w nim udział wybitni mężowie stanu oraz reprezentanci wszystkich narodów i państw europejskich, dwa tysiące innych zaś, którzy przybyć nie mogli, przysłało pisma pełne uznania i zachęty. Obradom przewodniczył senator belgijski, a wzięli w nich udział nawet czynni ministrowie tego kraju. Uchwalono dążyć do tego, aby Armenia otrzymała samorząd pod nietureckim gubernatorem i by podlegała kontroli i opiece wszystkich rządów.

I znów, z powodu kongresu tego pojawiło się w prasie europejskiej pełno artykułów, przedstawiających niedolę Armeńczyków w jaskrawych barwach i wzywających cały ogół chrześciański do ujęcia się za nimi.

Szczęśliwy naród! — pomyślał zapewne, czytając te artykuły niejeden z *Polaków*! — szczęśliwy mimo całej obecnej swej niedoli. Bo oto posiada licznych wpływowych przyjaciół i przynajmniej uśmiecha mu się *nadzieja*, że rychło już odzyska spokój i swobodę. Niejeden też zapytał się w duchu, ilu z pośród tych przyjaciół Armenii, zebranych na kongresie, piorunujących w imię *sprawiedliwości i ludzkości przeciwko gwałtom tureckim* — wie o tem, że w łonie Europy istnieje naród nie mniej nieszczęśliwy, naród, którego wprawdzie nie mordują fizycznie, który atoli nie mniej rozpaczliwą staczać musi walkę o wszystko, co mu drogie i święte, o swoją *wiarę, o język, narodowość, o swe mienie i prawo do życia?* Iluż z nich wiedziało i wie o *Wrześni*, o niedoli dziatwy polskiej, o ciężkim systemie antypolskim w Prusach?

I gdyby tak zarządzono ankietę odnośną, przekonanoby się, że ledwie 10 część tych apostołów ludzkości i miłości bliźniego ma jako tako chociaż trafne pojęcie o położeniu milionowej ludności polskiej w *Rosyi* i *Prusach*, o jej cierpieniach, o tem co znosić musi...

Większość nic nie wie o tem, nie przypuszcza nawet, że coś podobnego dziać się może w *Europie*! Dawniej informowały ogół o naszej niedoli *powstania*. Odkąd atoli wyrzekliśmy się zbrojnych porywów, odkąd zaczęliśmy szukać ratunku w cichej, mrówczej pracy, zapomniano o nas. *Września*, rozprawy w sejmie pruskim, mowy cesarza Wilhelma, przypomniały nas wprawdzie znów Europie, ale tylko na chwilę. Oburzenie, jakie np. w całym świecie wywołała Września, wrogowie nasi zaraz starali się przytłumić fałszywem przedstawieniem sprawy, kłamstwami i oszczerstwami — no i w niemałej mierze dopięli celu. Opinia świata wobec nas znów zobojętniała. Nie mamy oto tak wpływowych przyjaciół, jakich posiadają Armeńczycy; dla nas nie prowadzi się takiej systematycznej propagandy, jak dla Armeńczyków. Jeden, drugi artykuł w gazecie popada rychło w zupełne zapomnienie.

Więc sama z siebie nasuwa się myśl, czy i my Polacy, nie powinniśmy postarać się o to, aby i za nami ujęła się opinia świata tak samo jak za Armeńczykami, aby i na naszą rzecz odbył się taki *kongres powszechny?*

Zanim rozważymy to pytanie, zastanówmy się najprzód nad tem, czy i jaką akcya taka przynieść by nam mogła korzyść? A na to pytanie wypadnie odpowiedź nie bardzo pocieszająca i zachęcająca. Nieszczęściem naszem jest, że mamy nad sobą nie słabego Turka, „chorego człowieka", lecz dwa najpotężniejsze państwa Europy i świata. O wywalczeniu więc dla nas taką akcyą większej swobody politycznej ani mowy by być nie mogło, państwa te bowiem do tego stopnia nie uległy by opinii publicznej. Nie pomogłaby nam ona. jak nie pomogła Burom afrykańskim którzy także w tem smutnem znajdowali się położeniu, że mieli przeciwko sobie potężną Anglią. A jednak zupełnie bezowocną akcya taka by nie był. Opinia świata jest bądź co bądź czynnikiem tak poważnym, że nawet potężne Niemcy liczyć się z nią zwykły. Dziś dufają w to, że nie odezwie się za nami, lub jeśli się odezwie, to tylko sporadycznie, słabo, tak że łatwo ją uspokoić fałszami; inaczej by jednak może układali swe plany i zamiary wobec nas, gdyby wiedzieli, że *żaden* cios nam zadany, nie ujdzie uwagi świata, że każdy wywoła głośne echo, że *prawda* nie da się już sfałszować, że świat dowie się, w jaki to sposób względem słabszych okazują swą rzekomą „wyższość kulturalną." Nie wiele więc wprawdzie, ale coś zawsze by akcya taka osiągnęła.

Na kongresie takim, obradującym przez czas dłuższy, rozstrząsającym wszystko obszernie i dokładnie, łatwiej wykazać *prawdę*, niż za pomocą rzadkich artykułów przygodnych w prasie. A *o to* nam tylko chodzi. Nie mamy przecież bynajmniej zamiaru wywołać jakiej wielkiej *akcyi politycznej* dla nas, celem naszym byłoby i może tylko być *wykazanie prawdy*, zapobieżenie temu, aby prasowe biura hakaty dalej nie przedstawiały nas jako stronę winną, jako niepoprawnych burzycieli pokoju w Europie.

Sęk i to wielki sęk w tem — gdzie odbyć, dokąd zwołać taki kongres? Francya ze względu na Rosyą nie pozwoliłaby na to w swych granicach; Austrya i Włochy związane przymierzem z Niemcami, a podobno i osobną względem Polaków stypulacyą. Mniejsze monarchie, jak Belgia i Holandya również ulękłyby się gniewu Niemiec. Pozostałaby więc tylko *Szwajcarya* i *Anglia*. Bądź co bądź, chociażby tylko dla przekonania się, o ile to jeszcze — gdy chodzi o walkę słabych z potężnymi dopuszcza się w Europie do głosu *pra-*

wdę — wartoby w tym kierunku poczynić dochodzenia.

Ale nawet gdyby myśl odbycia kongresu takiego nie dała się zrealizować, warto zastanowić się nad tem, czyby nie było dobrze w inny sposób informować opinią świata stale o położeniu naszem? Zawsze to czynnik, który może być pomocnym w ciężkiej walce, jaką toczymy. Powinniśmy więc rozwinąć w tym kierunku przynajmniej taką *systematyczność i wytrwałość* ku wykazywaniu prawdy, jaką rozwijają wrogowie nasi w jej fałszowaniu. Kongres panarmeński niech będzie dla nas pod tym względem *zachętą*.

Nasuwa on nam inne jeszcze myśli. W tych dniach w sejmie dalmackim powiedział poseł *Bianchini*, dzielny Chorwat, te pamiętne słowa: „Źle robili przodkowie nasi (Chorwaci), że bronili Austryi *niemieckiej* przeciwko Turkom. Gdybyśmy z Turkami żyli byli w zgodzie, cieszylibyśmy się dziś już taką samą wolnością, jaką cieszą się Serbowie i Bułgarzy. Tak zaś zawsze borykać się musimy z Niemcami i przyjaciołmi ich Węgrami i Włochami.“ I my moglibyśmy się zapytać, czy dobrze było, że przodkowie nasi marnowali siły swoje na obronę Europy przed Turcyą. Jakże licho bowiem zapłacono nam za to! Turcya, która już przed wiekami zaczęła się rozpadać, nie byłaby groźną dla nas.

A jednak — może nie słuszną byłaby taka skarga nasza. Spełniliśmy misyą naszą, wzniosłą i piękną i dziś tem śmielej żądać możemy *sprawiedliwości* i ujęcia się za nami opinii świata. Tylko przypominać jej się należy, ciągle, systematycznie, wytrwale; nie wiele nam to pomoże, ale coś zawsze. A naród w naszem położeniu nie powinien zaniedbywać *żadnego* środka obrony.

Tych kilka myśli, wywołanych kongresem panarmeńskim podajemy pod rozwagę Czytelników naszych.

Noster.

Z TYGODNIA.

Nareszcie i w polityce nastał czas *ogórkowy*, czas ciszy i spokoju. Milkną już przecież nawet domysły i przypuszczenia, dotyczące podróży króla włoskiego do Petersburga i publiczność powoli oswaja się z tem, że na razie ani prawdziwych celów, ani donioślości tej podróży dociec nie zdoła. Rozstrzygnięcie wszelkich kwestyi, jakie się z powodu tego wyłoniły, pozostawia przyszłości; ona aż nadto rychło może nam wszystko odsłoni. Oby tylko nie zgotowała narodom Europy zbyt przykrej i groźnej niespodzianki. Z obowiązku cytujemy tu pogłoski, jakie obiegają prasę, że *Włochy* przygotowują wyprawę floty do *Tripolisu;* na razie jednakże do pogłosek tych nie przywięzujemy większej wagi.

Z *Francyi* wprawdzie nadchodzą wieści pełne łez i jęku, ale i te nie niepokoją opinii w innych krajach. Z brutalną bezwzględnością prowadzi tam w dalszym ciągu nowy rząd masoński zbrodnicze dzieło zniszczenia zakonów, a mianowicie szkół zakonnych. Rozwiązano już niemal wszystkie, a tysiące kapłanów i sióstr skazano na wygnanie i na gorzkie tułactwo po świecie. Setki tysięcy rodziców, którzy powierzali dziatwę swą szkołom zakonnym, drżą obecnie o los jej w przyszłości, gdy skazana będzie do uczęszczania do szkół państwowych, z których usunięto krzyże i Boga. Zdawało się też przez chwilę, że nowy ten bezprzykładny gwałt masonów w kraju *katolickim* wywoła burzę, która zmiecie go z krzeseł ministeryalnych i rządy odda w ręce ludzi zacnych i szanujących religią. Niestety, spełniło się przewidywanie nasze, że ludność katolicka *Francyi* nie ma dość siły i odwagi do wywalczenia takiego przewrotu. Skończyło się oto na kilku demonstracyach i opozycyjnych porywach, na przepędzeniu kilku wysłańców rządu — na protestach ustnych lub papierowych, a z tych wyznawcy siły przed prawem i wrogowie Boga nic sobie nie robią. Nawet płomienne protesty *biskupów francuzkich* nie odniosły żadnego skutku. Rząd drwi z tego oporu i zapewne jeszcze na protestujących biskupów surowe nałoży kary. Mówią też, że pojawi się w tej sprawie *encyklika papiezka*, ale i ona nic nie zdziała wobec tej bezprzykładnej niemocy trzydziestu przeszło milionów katolickiej ludności. Żal serce ściska, gdy się na to patrzy, a zwłaszcza, gdy się pomyśli, jak okropne skutki ta bezsilność katolików francuzkich wydać może w przyszłości. Biedny kraj, biedny naród!

Natomiast katolicy *hiszpańscy*, na owym wiecu w *Santjago* wykonali zwrot mądry i zbawienny. Oto zerwali zupełnie z partyą pretendenta do korony *Don Carlosa*. Jest to krok bardzo mądry. Don Carlos bowiem wyzyskiwał dotychczas tylko uczucia katolików hiszpańskich dla dynastycznych i osobistych swych celów ku wielkiej szkodzie całego kraju i narodu.

Jak zawsze tak i teraz nie braknie drobnych zatargów — żaden atoli nie zdolny jest poważniej zakłócić spokoju Europy. Zatarg taki panuje między *Francyą a Turcyą*, między *Turcyą* i *Czarnogórą*, a podobno i w *Macedonii* zanosi się na nową ruchawkę. Jedyny tedy „chory człowiek nad Bosforem“, ani na chwilę nie może odetchnąć spokojniej. Także rewolucya, jaka wybuchła znów w murzyńskiej republice *Haiti* w Ameryce — jest dla Europy sprawą obojętną zupełnie — o ile nie wchodzą tu w grę interesy handlowe jednostek.

W *Niemczech* ciągnie się jak wąż morski po przez wszystkie sprawy polityki wewnętrznej walka o nową *taryfę celną*, lecz i z nią publiczność tak się oswoiła, że właściwie spogląda na nią bez głębszego zainteresowania, zwłaszcza, że absolutnie nikt, nawet pan hr. *Buelow* nie może przewidzieć, jak się skończy.

Więcej też zajęcia wywołało zakończenie procesów o *oszustwa* w berlińskich *bankach hypotecznych* i o upadek banku *lipskiego*. Sąd skazał głównych sprawców tych oszustw na kary więzienne i pieniężne, jednakże ten wymiar kary nie zadowolił opinii publicznej. Ogólnie uważa się go za *zbyt łagodny* i nie bez słuszności zwraca jedno z pism berlińskich na to uwagę, że wyrok w obu sprawach utrwali tylko przysłowiowe przekonanie, że wiesza się *małych* złodziei, a *wielkich* chwyta się przez rękawiczki....

Nam *Polakom* tydzień ubiegły ciężki przyniósł cios nowy przez śmierć kardynała *Ledóchowskiego*. Zaraz też zawisło nad nami pełne troski pytanie, kto będzie tam w *Rzymie następcą ś. p. wielkiego nieboszczyka*, kto dalej tam czuwać będzie nad interesami żywotnemi *polskiego* kościoła? Jeźli któremu narodowi, to właśnie *polskiemu* bardzo, bardzo potrzebny jest tam opiekun i stróż w purpurze kardynalskiej, któryby dokładnie informował Stolicę św. o wszystkiem, co się u nas dzieje. Pojawiły się też już wieści, wymieniające jako następców śp. ks. kardynała Ledóchowskiego wywiezionego w głąb Rosyi *biskupa wileńskiego Zwierowicza*, oraz ks. *Arcybiskupa Zalewskiegoo*, stale w Rzymie przebywającego. Która z wieści tych się sprawdzi, nie wiemy.

Miejmy jednakże ufność do Leona XIII., iż da nam nowego purpurata, *który pójdzie śladem wielkiego poprzednika swego!*

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Jeżeli kiedy, to w ubiegłym tygodniu była prasa nasza wyrazem uczuć naszych, jakie wzbudził zgon śp. Kardynała *Ledóchowskiego.* Miłość i uwielbienie, jakiem otaczał tego męczennika w prymasowskiej i kardynalskiej purpurze nasz naród, odźwierciedliły się wiernie w łamach pism polskich. Wielkiego i wspaniałego tego chorału żałobnych głosów nie zakłócił żaden dźwięk fałszywy, była w nim harmonia uczuć, myśli i dążeń tak ścisła, tak jednolita, tak dźwięczna — jak ścisła jednolita i dźwięczna jest wiara nasza w opiekę Opatrzności i lepszą przyszłość narodu i Ojczyzny. Bo ten, którego opłakujemy, któremu cześć pośmiertną oddała prasa nasza, był też jakoby uosobionem wcieleniem naszych cierpień, mąk, bólów, naszej wiary i nadziei...

Mimowoli też myśl biegła wstecz, do owej wiekopomnej chwili, gdy według słów śp. Koźmiana „radowali się anieli w niebie, patrząc na obraz, jaki dawał światu arcybiskup gnieźnieńsko-poznański wraz z owieczkami swemi," gdy cały świat z podziwem spoglądał ku pałacowi na wyspie tumskiej i gdy z pałacu tego wśród jęków wiernego ludu wieziono go na dwuletnią kaźń do więzienia ostrowskiego. Cofała się jeszcze dalej, do czasu, w którym z wieżyc kościołów poznańskich biły dzwony na powitanie nowego Arcypasterza a z tysięcy piersi wzbijał się ku niemu okrzyk: „Witaj nam witaj, hospodynie miły!" I dobrze zrobił *„Dziennik Poznański,"* że po obszernym nekrologu uprzytomnił nam tę chwilę przez dosłowne przytoczenie opisu uroczystego wjazdu śp. Kardynała do Poznanania. *„Kuryer Poznański"* poświęcił zmarłemu księciu Kościoła całe dwa numery i dał wyczerpujący obraz jego życia. Rzewnemi słowy pożegnał go *„Wielkopolanin,"* a wtórowały mu wszystkie nasze pisma prowincyonalne, od *„Gazety Gdańskiej"* na północy do *„Górnoślązaka"* na południe, tak samo pisma nasze na obczyźnie. Ta trumna z drogiemi zwłokami, — pisał **„Goniec Wielkopolski"** w końcu artykułu swego — zda się wołać do nas:

„Baczność! Larum grają! Nawała wroga ciśnie się do progów waszych świątyń i waszych domów! Pilnujcie się, aby nie wygasł wśród was duch katolicki i święty żnicz narodowy. Walka u was wre, stajcie mężnie w obronie waszych ideałów, a nie lękajcie się, bądźcie wielcy duchem, *duch mój jest przy was!* Żadna moc ludzka nie zdoła wyrwać z serc waszych tego, co w nie wlał sam Bóg!

„A my ślubujmy przed trumną tego dostojnika kościelnego, wodza z minionych dni i męczennika za Wiarę:

„Cokolwiekby przyszłość kryła w swojem łonie złego, jakiekolwiekby spaść miały na nas gromy i ciosy — stać będziemy wiernie i walczyć do ostatniego tchu stary czy młody, mężczyzna czy niewiasta:

„Za Wiarę i Ojczyznę!"

Tak! Duch zmarłego stać będzie przy nas — i wskazywać nam drogę do lepszej przyszłości!

Tak samo wdzięcznie, z uwielbieniem i miłością pożegnała śp. Zmarłego prasa *zaboru rosyjskiego* i *Galicyi*, jakkolwiek w głosach jej nie brakło także rozpamiętywań krytycznych; czemu dziwić się nie można. Były czasy, w których dłoń krzyżacka, dłoń przebiegłego i podstępnego wyznawcy zasady: *„siły przed prawem"* — starała się poróżnić Prymasa Polski z narodem, w której zdawało się, że ten Prymas nie odczuwa naszych bólów, naszej nadziei i marzeń naszych. Zdawało się mianowicie tym, którzy *zdala* spoglądali na rządy jego w pierwszych latach. Przypomniano to więc i teraz, ale zaraz dodano, że rychło prysła ta intryga wraża, że wnet cierpienie wspólne usunęło wszelkie nieporozumienia i złączyło Prymasa z narodem *nierozerwalnym węzłem miłości i ufności wzajemnej.*

„Walka państwa z Kościołem w Niemczech — pisze, np. warszawski **„Kuryer Codzienny:"** — ostatecznie przegrana przez „żelaznego" kanclerza — stała się też terenem, na którym wyrosła wybitna postać ks. kardynała Ledóchowskiego. Dla samego dostojnika Kościoła niemiecki kulturkampf wydał, niezaprzeczenie, bardzo cenne następstwa. Aby je zmierzyć, trzeba tylko przeciwstawić ks. arcybiskupa Ledóchowskiego w Wersalu i w Ostrowie. W istocie przerażenie wciska się w duszę na myśl, coby się dziać mogło w polskich dzielnicach Prus, gdyby Bismarck w chwili wersalskiej misyi hr. Ledóchowskiego nie miał już w głowie zamiaru upokorzenia Kościoła i gdyby misya owa nie była spełzła na niczem. *Rachuby ludzkie zostały tu pomylone po obu stronach,* a następstwa poszły torem przez nikogo nie przewidzianym."

Ot mamy dowód najlepszy — jak wątłą pajęczyną są „rachuby ludzkie" — wobec woli Bożej i wielkości jego wybrańców. My, którzyśmy bliżej znali śp. kardynała Ledóchowskiego, wiemy aż nadto dobrze, że i bez wytoczenia walki kulturnej „rachuby" Bismarka byłyby zawiodły. Ale dobrze, że i to przypomniano teraz, bo właśnie na tle pierwotnych nieporozumień, wzniecony̨ch obcą ręką, obcą zdradą, ta postać jasna a czysta, ten prawdziwy mąż Boży tym droższym dla nas się staje.

Ciężkie położenie nasze nie pozwala nam oddawać się zbytnio smutkom i żalom; a bezlitosna ręka przypomina nam zaraz straszną rzeczywistość. To też od trumny drogiego Nieboszczyka myśli z konieczności wracać musiały do szarej codzienności, a pióra dziennikarzy do ciągłej, ani na chwilę nie ustającej walki o byt nasz i nasze prawa.

Zabrano nam już wszystko, co nam zabrać było można, a jeszcze mózgi hakatystyczne wysilają się na pomysły, aby wydrzeć nam więcej jeszcze, a kosztem naszym tuczyć Niemców. Z pomysłem takim wystąpił poznański *„Tageblatt"*, osławiony kłamca i oszczerca. Domaga się od rządu, ażeby bardziej jeszcze obsypywał złotem urzędników niemieckich, resztę Polaków zaś w służbie rządowej albo zupełnie rozpędził, albo też odebrał jej wszystko, co tylko da się jej zabrać. Słusznie zupełnie wymierzył mu „Wielkopolanin" taką odprawę:

„Tylko przewrotna głowa mogła podobne słowa napisać. Niemcom się wydaje, że oni popierają niemieckość, narzucając nam niemczyznę, naginając prawo i przepisy do celów germanizacyjnych. Takie pomysły mogą jedynie powstać w głowach ciasnych i w umysłach *nienawiścią zaciemnionych.* Skutek bowiem stosowania takich sposobów jest jedynie ten, że obywatel, do którego takie sposoby stosować zamierzają, znienawidzi niemczyznę, utraci szacunek dla powagi państwa, takich popierającego urzędników, że po prostu zatnie się jeszcze więcej niż przed tem. Szacunek dla państwa mogą jedynie krzewić urzędnicy sumienni i sprawiedliwi.

„Przytoczyliśmy ten artykuł, jako dowód niskiego usposobienia Niemców karjerowiczów. I tacy chcą nam narzucać swą kulturę, wszczepiać swe pojęcia obyczajowe, swoje zwyczaje i sposób myślenia.

„Lecz ten sposób ich myślenia jest tak wstrętny, że tylko splunąć można z obrzydzeniem i pogardą od tej karykatury jakiejś nowoczesnej kultury Hakaty. Wstyd i hańba pismakowi! Wstyd i hańba pismu, które takie nędzoty umieszcza!"

Inną ważną sprawę poruszył **„Dziennik Berliński"** — mianowicie to nieszczęsne nasze puszczanie płazem *kłamstw, obelg i oszczerst niemieckich.* Organ berliński radzi dochodzić prawdy i sprawiedliwości przed *sądami pruskimi*, poczem tak pisze:

„Gdybyśmy raz poraz uzyskali wyrok sądowy przeciw oszczerczemu artykułowi, publiczność niemiecka, czytając sądowe, urzędowe potępienie wybryku, *musiałaby* uwierzyć, że Polakom krzywdy się dzieją, że ich też zaczepiają, że muszą się bronić przeciwko niemieckim pismom, a nietylko Niemcy przeciw zuchwałości polskiej prasy!... W razie przeciwstawienia wywodów polskiego pisma a niemieckiego ogół niemiecki uwierzy zawsze swemu pismu, w razie skazania przez sąd redaktora hakatystycznego nie można mu wytłomaczyć, że świętą prawdę napisał...

„Przecież to pruski sąd go skazuje — więc niemiecka publiczność uwierzy, że istotnie Polaków dotknął, skrzywdził...

„Nie kierujmy się nieuzasadnioną względnością. Występujmy przeciwko każdej obeldze, przeciwko każdemu oszczerstwu, przeciwko którym wystąpić dają nam możność prawa pruskie.

„Czas i pieniądze na to znaleść się powinny. Istniało w Poznaniu dawniej jakieś biuro *„obrony prawnej"* — Co się z niem stało? Nie istnieje pono. A przydałoby się bardzo.

„Jest to zdaniem naszem sprawa ważna — dlatego jeszcze o niej pomówimy. Sądzimy, że społeczeństwo powinno się zająć gorliwie rzeczą. Prostować niemieckie wymysły trzeba tak, ażeby niemiecki ogół sprostowanie poznał, i przyjąć musiał do wiadomości. Inaczej są to tylko sprostowania... dla nas! A to na nic się nie zdało!"

I my wzywaliśmy często do wznowienia biura *„obrony prawnej“* — lecz niestety głos nasz był głosem wołającego na puszczy. A przecież powyższym wywodom „Dzien. Berl.“ nikt słuszności odmówić nie może.

W prasie *zachodniopruskiej* toczy się ożywiona dyskusya na temat połączenia tamtejszych *towarzystw ludowych w związek* z patronem na czele. W towarzystwach tych zaczyna bowiem się objawiać pewna ospałość, a nawet wprost zniechęcenie. To objaw smutny! Odzywają się wprawdzie głosy, że i związek taki nie zdoła wlać lepszego ducha w towarzystwa, trafnie atoli zbija ten pesymizm korespondent „Gazety Toruńskiej“ pisząc:

„Czy związek bezsilnym będzie wobec zobojętnienia dla spraw towarzystw naszych, co najmniej powątpiewać się godzi, gdyż właśnie w części pierwszej projektu w paragrafie 4-ym wymieniono kilka środków, za pomocą których związek będzie mógł oddziaływać skutecznie na „warunki lokalne“. Powiedziano tam, że związek chce podtrzymywać życie w istniejących już towarzystwach przez regularne dostarczanie odpowiednich odczytów i że czuwać będzie nad tem, aby Towarzystwa dopełniły w swej działalności wszelkich przepisów prawnych celem uniknięcia zatargów z władzami.

„Ważne wydają się także projektowane zjazdy delegatów, bo na zjeździe takim dowiedzielibyśmy się najlepiej, czego nam brak w towarzystwach, poznalibyśmy najdokładniej potrzeby naszej ludności i niejednemu brakowi możnaby trwale zaradzić.

„Nie byłoby to oczywiście plastrem na wszystkie niedomagania naszych towarzystw, ale byłoby to „coś w każdym razie, a lepszy rydz jak nic, mówi nasze przysłowie.“

My zaś wskazujemy braciom z Prus zachodnich na pomyślny rozwój tych Towarzystw i Spółek naszych, które mają nad sobą zarząd centralny lub Patronat np.: „Spółek Zarobkowych“ i „Kółek rolniczych.“ Exempla docent!

B. M.

KRONIKA.

Urządzono obławę na szeroką skalę; sprowadzono „godnych“ obywateli z Królestwa Polskiego „z wielkiemi kapitałami“ i „bardzo serdecznie“ przejętych losem wielkopolskiej braci, a szczególnie zagrożonej wielkopolskiej ziemi. Niezliczone miliony rubli miały złotym potokiem spłynąć na zakupno ziemi w dzielnicy naszej, wielkie obszary włości polskich, prawie najpiękniejsze liczne dobra stały się przedmiotem targów, jednego dnia, prawie jednej chwili dokonać się miała sprzedaż znanych pięknych majątków polskich w ręce „wielkodusznych“ obywateli z Kongresówki, już wszystko było świetnie przygotowane — a tu coś wstrząsnęło powietrzem, prysła bomba pod postacią przestrogi firmy *Drwęskiego i Langnera* i od razu pierzchły kapitały ogromne, znikli z widowni „wielkoduszni“ bracia z Kongresówki, a rojenia o wielkiej akcyi ratunkowej zamieniły się w trzeźwe rozpoznanie, że pewien znany agent komisyi kolonizacyjnej z Bydgoszczy zorganizował zmyślnie ogromną obławę na najlepsze polskie majątki wyszukawszy sobie odpowiednich niesumiennych pomocników w Królestwie, i za jednem uderzeniem chciał skurczyć ziemię posiadaną przez Polaków o kilkadziesiąt tysięcy mórg. Sztuka uplanowana była przebiegle. Żaden ze sprzedających obywateli nie przypuszczał, że owym złotym potokiem są fundusze pruskiej kolonizacyi, żaden nie myślał, że owi godni obywatele importowani z poza kordonu to zgraja niesumiennych aktorów — zaprzańców, wyszukanych przez żydowskiego agenta, żaden nie myślał o tem, że on i jego majątek jest igraszką zdradliwych knowań. Na szczęście, na wielkie szczęście w sam czas wykryto niecną machinacyą, ocalono dużo polskiej ziemi od bezpowrotnej straty, ochroniono społeczeństwo od tego wielkiego przygnębienia, jakie sprawiłaby sprzedaż ogromnych areałów w ręce zachłannej komisyi kolonizacyjnej.

Jaka to przestroga dla naszych obywateli, ażeby mieli się na baczności a w sprawach sprzedaży majątków i udawali się tylko do firm takich, które na bezwzględne zasługują zaufanie!

Fakt wykrycia zdradzieckiej sztuczki, którąby żydowskiego agenta zrobiła od razu milionerem a w glebie polskiej niepowetowane sprawiłaby wyłomy, jest zapewne najważniejszem z ostatniego tygodnia zdarzeniem. Gdyby się niegodziwa ta frymarka powiodła bydgoskiemu faktorowi kolonizacyi, wtedy cała sfora połakożercza zahuczałaby z radości i zatrąbiłaby na wszystkie strony świata o upadku sprawy polskiej na kresach i o marnocie polskiego obywatelstwa, a najpiękniejsze polskie nazwiska dostałyby się bezwiednie do smutnej kroniki sprzedaży ziemi naszej za pruskie miliony.

Byłoby oczywiście ułudą przypuszczać, iż komisya fortelem i podstępem tylko zdobywać już dziś może polskiej ziemi kawały. O nie, ofert polskich do kancelaryi kolonizacyjnej i dziś napływa nie mało, a przykro wyznać, że genus sprzedawczyków jeszcze u nas nie wymarniał. Toż świeżo w smutnej kronice zapisało się Brzezie, którego sprzedaż na kolonizacyą dotychczasowy właściciel tak naiwnie chciał zachachulić przez podsunięcie nabywcy, niemającego zupełnie majątku. Wesołą była ta komedya w niewesołej frymarce! Mówią wszyscy, że staremu wydze zabrakło już konceptu, albo też uważa społeczeństwo nasze za bardzo naiwne, skoro postawieniem tak lichego figuranta spodziewał się złudzić opinią, jakby do kolonizatorów pruskich nie należał!

Tak to wśród obywatelstwa, w którego ręku spoczywa los ziemi naszej ojczystej, raz po razie zaznacza się przygnębiający brak poczucia i czci narodowej. Ale niestety i po miastach nie wszystko dzieje się tak jak powinno. Oto n. p świeżo znowu „Dziennik Kujawski“ uznał za stosowne zgromić licznych obywateli inowrocławskich za lekceważenie swych polskich imion. Licznym kupcom inowrocławskim zabrakło podobno odwagi do oporu w obec żądania policyi, ażeby zmienili pisownią imion swych na tabliczkach firmowych. Jedni pokwapili się do pisowni podług łacińskiego brzmienia, drudzy zdecydowali się nawet na brzmienie i pisownią niemiecką.

„Tchórzostwo to, czy lenistwo?“ — zapytać można słusznie, gdy się widzi podobne ustępstwo w obec samowolnych, niczem nieuprawnionych żądań policyi. Czy obawa szykan ze strony władz była przyczyną? Jeźli tak, to cały naród nasz powinien z obawy takiej się przeistoczyć podług pretensyi pruskich, bo cały naród jest dziś przedmiotem prześladowań i szykan. A jeźli lenistwo było powodem powolności w zmianie imion, to zapytać się godzi, czy już tak upadamy, że nawet do obrony charakteru i znamion narodowych energii nam ubywa? Jakiż to ma być koniec? Z imion i nazwisk przejdzie owa obojętność do nieposzanowania mowy ojczystej, z tamtąd do duszy, do istoty naszej wewnętrznej, gdy zabraknie poczucia do zachowania zewnętrznych znamion i objawów naszej odrębności.

Nie zrzekajmy się tych znamion i objawów, bo coraz bardziej przeczyć będą Niemcy naszemu istnieniu, pomiatać naszą polskością, urągać nam i szydzić z naszych ideałów. Gdy nas chcą gwałtem na Niemców przerobić, nie giermanizujmyż się sami dobrowolnie i lekkomyślnie. Tyle tylko będzie istoty i charakteru narodowego w przyszłych pokoleniach naszych, ile my im przekażemy. Baczmy pilnie, ażeby czystą i nieuszczuploną była ta spuścizna!

Alius.

Teatr Poznański

na prowincyi

po trzechmiesięcznej wędrówce kończy dzisiaj 31 bm. w Grodzisku szereg przedstawień, jakie dawał w miastach prowincyonalnych. Artyści zwiedzili w tym czasie 25 miast, dając ogółem 88 widowisk. Najwyższą liczbę przedstawień dano w Inowrocławiu, bo ośm, najniższą po dwa przedstawienia w kilku miastach W. Księztwa. Po raz pierwszy bawił Teatr poznański w Łabiszynie, Wronkach i Pniewach. Inne miasta gościły już teatr rozmaitemi czasy poprzednio. Wszędzie powodzenie materyalne i artystyczne było doskonałe — artyści przeważnie doznawali gościny w domach obywatelskich, publiczność chętnie i życzliwie spieszyła do sal, w których się przedstawienia odbywały, tak, że rezultaty wycieczki artystycznej w tym roku są znacznie lepsze, niż kiedykolwiek dawniej.

Za rozliczne dowody życzliwości, za wyrazy uznania, za gościnne przyjęcia, jakich nie szczędzono artystom Teatru poznańskiego w miastach prowincyonalnych, na tem miejscu raz jeszcze składa staropolskie „Bóg zapłać!“

Teatr Poznański
z p. *Stefan Czternasty.*

Grodzisk, 31 lipca 1902.

Polka.

(Do illustracyi albumowej).

I któż to w błogiej anioła postaci,
Siedząc nad dziecka lubego kołyską,
Uczy, wraz z pierwszą modlitwą za braci,
Wymawiać drogiej Ojczyzny nazwisko —
I w młodem sercu niewinnej istoty
Obywatelskie rozpłomienia cnoty,
Miłość Ojczyzny, męztwo, stałość do
[ostatka —
Kto? — Polka matka!

Kto, gdy Ojczyzna wzywa dzieci swoje,
Kiedy do pracy uderza godzina,
Drogiego męża sama śląc na znoje
Drżącą mu ręką swój krzyżyk przypina,
I swe ozdoby, pierścień nawet luby,
Co w dniach różanych święte spoił śluby,
Na ołtarzu Maryi składa rozczulona —
Kto? — Polka żona!

Kto na zniszczonej, niegdyś żyznej ziemi,
Co zagonami mogił dziś pokryta,
Tocząc w około oczyma błędnemi,
Wieczornych wiatrów o kochanka pyta —
Z rozwianym włosem, z szatami żałoby,
Budząc łzą rzewną męczenników groby,
Smutna, powtarza drogie imię bez ustanka,
— Polka kochanka!

Kto, żywiąc w piersiach duszę poświęconą
Dla szczęścia ziomków i ojczystej sprawy,
Porzuca miłe rówienniczek grono
I cichą ustroń i płci swej zabawy,
I do pieszczoty utworzoną dłonią
. . . .
Przeraża blaskiem . . . . choć wzrokiem
[zachwyca!
— Polka dziewica!

Gdy nad Ojczyzną, zdradnie w grób wtrą-
[coną,
Słońce wolności zaszło po raz trzeci —
Kto, kryjąc kirem rozżalone łono,
Łzami gaszoną nadzieję w niem nieci —
I wzgardą płacąc uśmiech najezdnika,
Przed nim swe progi i serce zamyka,
W cichych modłach za braci trawiąc dni
[tęsknoty?
— Polki sieroty!

K. Gaszyński.

Kalwarya Zebrzydowska.

(Do illustracyi).

Walery Eljasz, opisując drogę do Tatr i Pienin, słusznie szczególną zwraca uwagę na Kalwaryę Zebrzydowską, nadmieniając, że nawet koleją żelazną jadący podróżny czuje się oczarowanym i prawie każdy postanawia poznać to święte miejsce.

Kalwarya-miasto i Kalwarya Zebrzydowska-wieś leżą tuż przy sobie, w prześlicznej, malowniczej miejscowości. Kto nie zamierza dłużej się tu zatrzymać, staje zwykle w miasteczku, kto zaś ma możność pozostania czas pewien, najlepiej zrobi, wynajmując mieszkanie w jednym z domków miejskich na tak zw. Bugaju, to jest na górze tuż za klasztorem, w obrębie dróżek krzyżowych i cienistych lasów, skąd będzie mógł podziwiać wspaniałą panoramę Lanckorony.

W miasteczku nic nadzwyczajnego nie znajdujemy: maleńkie, 2,000 z górą mieszkańców liczy, lecz zaleca się schludnością. Rozciągnęło się w dolinie pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, uwieńczonych jodłami i sosnowymi lasami. Większość mieszkańców uprawia stolarstwo; wyrabiają zwłaszcza parkiety na posadzki, a wyrób jest tak doskonały, że nietylko rozchodzi się po całej Galicyi, ale także po Węgrzech i Śląsku. Mieszkańcy stolarstwem zajmują się od dawna, bo już w r. 1786 było tu 40 majstrów stolarskich. Dla podniesienia rzemiosła założono w Kalwaryi przed trzema laty krajową szkołę stolarstwa, która pomyślnie się rozwija.

Natomiast osobliwość znajdujemy we wsi, Kalwaryi Zebrzydowskiej, rozłożonej na stoku i u samych stóp lesistej góry, zwanej Żarkiem lub Kalwaryjską. Osobliwością jest klasztor Bernardynów i liczne kaplice połączone z sobą t. zw. dróżkami krzyżowemi. Plan całej miejscowości tak się przedstawia: U stóp gór Żarka gościniec rozstrzela się w trzech kierunkach, z których południowy prowadzi stromo, po stoku górskim, do kościoła i klasztoru Bernardynów. Dróżki zaczynają się za klasztorem, a obieg ich tworzy równoramienny trójkąt; północny kąt tej figury obejmuje kościół i klasztór, południowy domek — Domek Loretański, a wschodni — Grób Maryi.

Dzieje powstania tej miejscowości są niezmiernie ciekawe: Mikołaj Zebrzydowski, starosta lanckoroński, krakowski i stężycki, hetman nadworny, wojewoda lubelski, marszałek w. k., przypatrując się razu pewnego wraz z małżonką swoją, Dorotą z Fulsztynów Herburtówną, z okien baszty zamku lanckorońskiego, spostrzegł nad górą Żarkiem trzy krzyże płomienne, które wkrótce zniknęły. Cudowne zjawisko skłoniło hetmana do pobożnej fundacyi: ślubował w tem miejscu, gdzie krzyże jaśniały, zatem na górze zamkowi przeciwległej, wznieść świątynię, do Jerozolimskiej wiernie podobną, a i całej miejscowości nadać pozór Jerozolimy i okolicznych punktów pamiąt-



Kościół w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

kowych. Jakoż w początkach r. 1595 wysłał do Ziemi Świętej zaufanego dworzanina swego, Hieronima Strzałę, polecając mu, by stamtąd przywiózł dokładne plany Jerozolimy, okolic, oraz kaplic Ukrzyżowania i Grobu Pańskiego. We dwa lata dopiero wrócił Strzała (bo pieszo drogę daleką odbywał), przywożąc w pudłach drewnianych nietylko plany, ale i modele kaplic z gliny, czy też z gipsu.

W r. 1600 położono fundamenty pod kaplicę Ukrzyżowania, a w roku następnym już ją legat Papieża, Klaudiusz Rangoni, w obecności Bernarda Maciejowskiego, biskupa krakowskiego, i wielu najznamienitszych panów, poświęcił. Posiadała ta kaplica dwa obrazy: „Przybicie do Krzyża“ i „Podniesienie Krzyża“. W rok potem przystępuje Zebrzydowski do budowy klasztoru Bernardynów z kościołem, według planów Jana Maryi Bernardonusa, Jezuity-Włocha, a pod kierunkiem Pawła Bandartha z Belgii. Założenie kamienia węgielnego odbyło się z uroczystością niezwykłą. Wymierzenia góry, dróżek, odległości stacyi, Ogrójca, strumienia Cedronu, (wszystko według pomiaru jerozolimskiego) dokonał słynny matematyk, astronom, Szczęsny Zebrowski, który podówczas synowi hetmana bakałarzował. Robót doglądali Bernardyni, sprowadzeni z Lublina, tymczasowo zamieszkali w drewnianym szałasie, który potem starym klasztorem zwano.

Rokosz Zebrzydowskiego opóźnił dalszą budowę, ale jej nie wstrzymał, gdyż popierał ją hojnemi ofiarami Szymon Petrycy z Myślenic. W tym czasie założono fundamenty pod kaplicę Grobu i Świętego Piłata. W r. 1609 Zebrzydowski wraca zwycięzony, przywdziewa habit św. Franciszka, odprawia pokutę w pustelni św. Magdaleny i dogląda budowy. Teraz dzieło szło raźniej. Założono fundamenty kaplic: św. Anny, Kaifasza i Heroda; wykończono i poświęcono kościół Panny Maryi Anielskiej, który przyozdobiono srebrnym posągiem Bogarodzicy, odlanym w Rzymie, na wzór posągu loretańskiego. W latach następnych powstały kaplice: Grobu Maryi, Wieczernika, Podniesienia Krzyża, Wniebowzięcia, Pierwszego Upadku, Bramy Miejskiej, św. Magdaleny i św. Rafała.

W r. 1623 Zebrzydowski umiera w Krakowie, lecz dzieło kalwaryjskie prowadzi syn jego Jan, również pobożny jak ojciec. Buduje kaplice Bramy Wschodniej i Obnażenia; ozdabia i obmurowuje czworobok przed kościołem i tu ustawia konfesyonały; wznosi statuę św. Weroniki, domki Maryi w kształcie krzyża, stacye Pogrzebu i Wniebowzięcia N. M. Panny; przyozdabia kościół dwoma no-



Typy włościan z okolic Kalwaryi Zebrzydowskiej

Według rysunku P. Stachiewicza z dzieła „Monarchia Austro-Węgierska w słowach i obrazach.“

wemi ołtarzami, a do wielkiego sprowadza obraz Nakarmienia; na dróżkach wznosi wodotrysk murowany w kształcie krzyża; wreszcie hojnym zapisem klasztor wyposaża. Po śmierci Jana Zebrzydowskiego, która nastąpiła w r. 1642, fundacyą hetmana opiekują się lub prowadzą ją dalej krewni, bądź powinowaci rodziny Zebrzydowskich, więc: Franciszek kasztelan lubelski i Michał starosta krakowski Zebrzydowscy, oraz Czartoryscy, co prawem dziedzicznem osiedli w Lanckoronie i Kalwaryi; pamiętają nadto o tej fundacyi: Mikołaj z Żurawa Daniłowicz, Maryanna ze Żmigrodu Zebrzydowska, Paszkowski z Brzezia, Teresa z Palcowskich Rudzkich Przyrębska. W r. 1702 Magdalena z Konopackich Karólowa Czartoryska zbudowała większą część dzisiejszego kościoła.

W r. 1748 Franciszek z Rudz Russodzki buduje kaplicę Trzeciego Upadku. W dziesięć lat potem w lesie kalwaryjskim zjawia się pierwszy pustelnik: Błaży Atłasiński. W r. 1767 Józef Dunin ze Skrzyńska darował do kaplicy Trzeciego Upadku prześliczny obraz Matki Bożej, rozpływającej się we łzach nad zwłokami z Krzyża zdjętego Syna.

Od pierwszej chwili powstania onej Nowej Jerozolimy, jak niektórzy Kalwaryę Zebrzydowską nazywali, dążyli tu pobożni pątnicy z całej Polski, z Moraw, Ślązka, Węgier, nawet z Niemiec i Austryi, pociągani licznemi odpustami, które kościołowi kalwaryjskiemu Papieże w rozmaitych czasach ponadawali.

Więc w roku 1614-tym widzimy tu tłumy magnatów i duchowieństwa węgierskiego; również odwiedzają świętą miejscowość: Adam Wacław ks. cieszyński, z całym dworem i liczną gromadą panów, Barbara z Lubomirskich Janowa Zebrzydowska z Wiśnicza, Anna Lubomirska z Ruszczy i wiele innych znakomitych pań polskich. W. r 1621 królewicz Władysław dziękuje N. Pannie Kalwaryjskiej za złamanie Turczyna pod Chocimem; w r. 1633 bracia Władysława IV, Kaźmierz i Aleksander, z orszakiem senatorów, odbyli pobożną do Kalwaryi Zebrzydowskiej pielgrzymkę; wreszcie z głów koronowanych byli tu: w r. 1722 Józef II, a w r. 1867 Franciszek I, cesarze austryaccy.

Z ważniejszych pomników, przechowujących się w Nowej Jerozolimie, wymienimy: w kaplicy Niepokolanego Poczęcia N. M. Panny — grobowiec Jana Cisowskiego, podskarbiego trębowelskiego, jego małżonki Jadwigi z Rosińskich i potomstwa, z r. 1762, oraz Maryanny z Rawiczów Dębińskiej, *primo voto* generałowej Zygmuntowej Łubieńskiej z r. 1795; w kaplicy św. Antoniego — grobowiec Ewy z Gumowa stolnikówny zakroczymskiej, małżonki Jana Kryskiego na Nobinie, cześnika zakroczymskiego, z r. 1658 tamże grobowce: Barbary Stradomskiej, córki Jędrzeja ze Stradomia i Maryanny z Brzezia, z 1673 r., oraz Marcina z Raciborowic Raciborowskiego, wojskiego zatorskiego i oświecimskiego z 1664 r. W sklepach grobowych kaplic lub kościoła spoczywają: ostatni dziedzice Kalwaryi, ks. Czartoryscy z linii koreckiej i Kajetan Sapieha, wojewodzic mścisławski, marszałek konfederacyi województwa połockiego, porąbany r. 1771 pod Lanckoroną.

Wszystkich dróżek i kaplic jest 26, stacyj zaś N. M. Panny — 20. Obecny przeor klasztoru, ks. Czesław Bogdalski, z wielką troskliwością strzeże zabytków przeszłości, a zwiedzającym Kalwaryę najchętniej wszelkich udziela wskazówek.

Stamir.

Nad trumną śp. Ks. Kardynała
Mieczysława Ledóchowskiego.

Znów z szczytów Rzymu rozbrzmiewa wieść smutna,
Która głęboką boleść wywołała;
Gdy kosa śmierci złowroga, okrutna,
Przecięła pasmo życia Kardynała...
W chwili żałosnej wznosim głos serdeczny:
Boże! daj duszy Jego spokój wieczny!

Bo wszakże zmarły ten Kościoła Książe,
Przez lat dwadzieścia tu z nami przebywał —
Jego się żywot z Wielkopolską wiąże;
Bo On ją płaszczem opieki zakrywał...
Więc z polskich piersi płynie hymn serdeczny:
Boże! daj duszy Jego spokój wieczny!

Wszak Ksiądz Mieczysław, Arcypasterz miły —
Rządził tu dawniej owczarnią Mu daną;
Nie szczędził znojnej pracy, trudów, siły,
Dając Swe serce i duszę wylaną —
Dla Swych owieczek! — wzleć głosie serdeczny,
By zacnej duszy dał Bóg spokój wieczny!

On, jako Ojciec czuły i troskliwy,
Czuwał nad dobrem powierzonych dziatek;
A gdy im groził los smutny, złośliwy,
Był Opiekunem naszych rodzin, chatek...
Dlatego silniej płyń hymnie serdeczny,
By Bóg tej duszy dał spoczynek wieczny!

A jako brat nasz, wierny Syn Macierzy,
Świeci przykładem ufności i męztwa!
Stoi, nie pada, ale silnie wierzy,
Że Mu Bóg ześle jutrzenkę zwycięztwa!
I wolał cierpieć... do końca stateczny...
Boże! daj duszy Jego spokój wieczny!

Ile wycierpiał?... Któż to dziś wypowie?
Któż zliczy łkania Jego, łzy i żale?...
Które tam wyszły z za kraty w Ostrowie...
Lecz nie napróżno! — bo ku Jego chwale
I lud czci Boga! — leć głosie serdeczny,
By duszy czystej dał Bog spokój wieczny!

Za męztwo, którem tu dokazał cudu —
Bo przetrwał, przebył burze i bałwany;
On Pasterz, Ojciec i Przyjaciel ludu,
Został od swoich w końcu oderwany...
Za tę ofiarę wznosim hymn serdeczny:
Byś Mu dał Boże odpoczynek wieczny!

Oprócz purpury, Męczenników godła,
Którą go Papież ozdobił za kraj;
Serca Go nasze i modlitwa wiodła —
One jedyną tu były zapłatą....
Więc wdzięczne dzieci ślą swój głos serdeczny:
Byś teraz Boże dał Mu spokój wieczny!

Niech odpoczywa za pracę łożoną
Serce Jezusa wziąwszy Go do Siebie;
Niech wieńczy skronie Swej chwały koroną,
By za Swych wiernych przyczyniał się w niebie..
Z świętym Wojciechem! — Boże! ten serdeczny,
Przyjm hymn Polaków, daj Mu spokój wieczny!

Poniec, 25, VII. 1902.

B. Laurentowski, organista.

Na Malcie.

(Do illustracyi.)

Maleńka wyspa na morzu Śródziemnem od lat stu jest posiadłością angielską. Pomimo to wpływy angielskie poczyniły na niej bardzo małe postępy. Wyspa ma około 150,000 mieszkańców, a w tem zaledwie 1,800 Anglików, pomijając dziewięciotysięczną załogę wojskową. Użycie języka angielskiego praktykowało się tam dotychczas w bardzo szczupłym zakresie. Ludność miejska używa w życiu codziennem prawie wyłącznie języka włoskiego, a ludność włościańska posługuje się dyalektem złożonym z wyrazów i pierwiastków włoskich, arabskich i greckich. Wobec władz, w sądach, w aktach notaryalnych, w dokumentach publicznych można było dotychczas używać języka włoskiego, obok angielskiego.

W szkołach język włoski był wszędzie przedmiotem nauki obowiązkowej. Odtąd jest inaczej. Angielski sekretarz stanu do spraw kolonialnych, Joe Chamberlain, pogromca Boerów, postanowił, iż od listopada 1900 r. na Malcie jest używany wyłącznie język angielski w sądach i aktach urzędowych.



Ulica w Lavalette, głównem mieście wysp Malty.

Za lat 15 rząd angielski domagać się będzie od każdego mieszkańca, aby znał język angielski tak, by mógł obywać się bez tłumacza. Aby tego dopilnować, Chamberlain sam zwiedził Maltę. Zaledwie minister angielski przybył na wyspę, wnet zgłosiła się do niego deputacya włoska i w sposób właściwy Włochom w słowach pełnych frazesów i sentymentalizmu, protestowała przeciw najnowszym zarządzeniom, ale p. Chamberlain jest bardzo dalekim od mdłego sentymentalizmu. Przyjął najprzód deputacyą maltańską tak lodowato, że ojcom wyspy chłód chadzał po krzyżach, a następnie z flegmą iście angielską tłumaczył, iż żądania „deputacyi są bezwstydne," gdyż Maltańczycy mogą być dumni, iż tak wielkie państwo chce ich bliżej połączyć z sobą.

Wszystko to wywołało na Malcie i we Włoszech burzę, ale p. Joe Chamberlain nazwał to burzą w szklance wody.

Jak widać z powyższego, na wyspie Malcie dzieje się tak samo jak u nas, dzięki „angielskiemu Bismarckowi" tj. Joe Chamberlain'owi. *—ski.*

Ćwiczenia wojenne w Niemczech.

(Do illustracyi.)

Corocznie w miesiącu wrześniu niektóre prowincye niemieckie zamieniają się w istne pola wojenne. Wszędzie odbywają się ćwiczenia i tak zwane wielkie manewry. Pora ta dlatego obierana bywa na tego rodzaju ćwiczenia, ażeby odszkodowania za straty, zrządzone w polu, nie były zbyt wielkie.

Podobno, jak powiadają znawcy, ćwiczenia lat ostatnich wykazały, iż sławiona w świecie całym sprawność administracyi wojskowej niemieckiej pod niektóremi względami okazała się szwankującą. W niektórych miejscowościach zabrakło środków transportowych, skutkiem czego ruchy wojsk były utrudnione. Szczególniej dało się to odczuć w oddziałach kawaleryi. Za to piechota niemiecka wykazała taką zręczność w obrotach, iż znów na długie lata uchodzić może za najlepszą w świecie.

Takie ćwiczenia są bardzo kosztowne, na co zresztą niektórzy członkowie parlamentu publicznie sarkają. Ludność ponosi i tak olbrzymie ciężary wojenne; sztuczne zwiększanie tych ciężarów nie znajduje poparcia, ani też nie wywołuje oznak zadowolenia. I nic dziwnego.

Ale Niemcy chcą bądź co bądź utrzymać się na stanowisku mocarstwa mającego najlepszą armię. Takie zachcianki drogo kosztują...

Okolica Poznania będzie na początku września r. b. świadkiem takich ćwiczeń wojennych. *—ski.*

Widoki z Chin.

(Do illustracyi.)

I.

Z pewnością nie będzie bez interesu dla Szanownych Czytelników zamieszczenie w „Pracy" niektórych widoków z Chin, zobrazowanych podczas ostatniej wojny, której krwawe sceny rozegrane między wojskami państw zjednoczonych, a Chińczykami mamy jeszcze w żywej pamięci. W dzisiejszym numerze zamieszczamy następujące widoki: „Straż europejską u wschodniej bramy Pekinu", „Bramę w murze Pekinu, oddzielającym dzielnicę chińską od mandżurskiej", „Strażnicę niemiecką w Kiaoczau, zburzoną przez Chińczyków", „Groby chińskie na równinie pod Tientsinem, „Statki chińskie na rzece Pei-Ho", oraz „Mandaryna chińskiego, zwiedzającego posterunek wojenny. *—ski.*

Wśród trupów.

(Opowiadanie Boera).

W listopadzie r. z. dostałem się do niewoli w okolicy Balmoralu, w wschodnim Transwaalu, przy następujących okolicznościach.

Należałem do oddziału, złożonego z trzystu ludzi pod dowództwem Ben-Viljoena, a którego zadaniem było zaopatrywanie w żywność większego oddziału, obozującego o 50 kilometrów dalej na południe.

Pewnego razu, będąc wysłany na czele dziesięciu ludzi w służbie wywiadowczej, wpadłem jak w zatrzask, między dwie kolumny angielskie, pod samym Ritzburgiem. Oddziały angielskie liczyły około 800 ludzi, było to zbyt wiele przeciwko naszej garstce. Aby zasłonić odwrót jadących za nami wozów z żywnością, postanowiliśmy rozpocząć ogień i trzymać się jaknajdłużej. Po pierwszej salwie naszej Anglicy stanęli na miejscu i poczęli ostrzeliwać wzgórze, za którem się kryliśmy. Trzymaliśmy się przez parę godzin; wozy z żywnością ocalały, lecz my, zasypani gradem kul i otoczeni ze wszystkich stron, wszyscy ranni — ja otrzymałem postrzał w bok — chcąc nie chcąc, musieliśmy się poddać.

Anglicy uprowadzili nas do Balmoralu, gdzie nas opatrzono, a następnie osadzono w obozie koncentracyjnym pod Middburgem.

Nie ma słów, któremi możnaby opisać tę podróż okropną; ale to, co przechodziliśmy w obozie, trudno sobie wyobrazić.

W tym oddziale obozu, w którym mnie umieszczono, znajdowało się 49 Boerów. Jeńcy tu z wycieńczenia i strasznych cierpień padali jak muchy, tak że obóz w krótkim czasie zostałby wyludniony, gdyby nie to, że codziennie przypędzano nowe ofiary.

Los nasz był nie do zniesienia. Pomimo, że wszyscy bez wyjątku byliśmy ranni lub chorzy, nie mieliśmy ani lekarza, ani lekarstw, ani środków antiseptycznych. Przytem umieraliśmy poprostu z głodu. Otrzymywaliśmy codziennie cokolwiek stęchłej mąki i mięsa wołowego, rojącego się od robactwa. Nie mieliśmy ani węgla, ani drzewa do ugotowania tej wstrętnej prowizyi. Często bardzo brakło nam soli i wody do picia!

Jeżeli do tego dodam, że byliśmy pozbawieni wszelkich wiadomości z teatru wojny, że nie wiedzieliśmy nic o losie drogich nam istot, że nie pozwolono nam komunikować się pomiędzy sobą, że przytem śmierć dziesiątkowała nas bez litości, — łatwo zrozumieć, jaką torturą było dla nas życie w obozie koncentracyjnym.

Rana moja zagoiła się szybko, byłem jednak ogromnie wycieńczony. Wiedziałem, że umrę, jeżeli kilka dni jeszcze przepędzę w tem piekle. Lecz miłość ku rodzinie dodawała mi sił i energii. Postanowiłem uciec bądź co bądź.

Ucieczka nie była łatwą. Obóz cały był otoczony i porznięty mocnemi drutami kolczastemi, dokoła krążyły bez przerwy patrole z bronią gotową do strzału. Wielu towarzyszów niedoli zapłaciło życiem za rozpaczliwą próbę ucieczki, jak dowodziły ich trupy, pokaleczone kolcami, podziurawione kulami szyldwachów.

Trzeba było szukać innego sposobu.

Jak już wspomniałem, w obozie codziennie umierało po kilkunastu ludzi. Zwłoki składano w kącie przy samem wejściu, codziennie rano przyjeżdżał po nie wozem Kafr. Dwaj żołnierze pomagali mu wciągać ciała na wóz, którym je wywoził na tymczasowy cmentarz. Żołnierze i Kafr wlekli trupy za nogi, za głowy, jak się zdarzało, i rzucali je na wóz, jeden na drugi, jak worki.

Z tego postanowiłem skorzystać, pomimo całego wstrętu i obrzydzenia, jakie budził podobny sposób. W miesiąc po wzięciu do niewoli doprowadziłem swój plan do skutku.

W nocy rozebrałem się, zostawiając na sobie tylko koszulę, jak Anglicy robili z umarłymi, niepostrzeżenie dostałem się do zaimprowizowanej grabarni i położyłem się między sześcioma znajdującemi się tam trupami. Serce przestało mi bić, gdy nad ranem usłyszałem turkot zajeżdżającego wozu... potem ciężkie kroki żołnierzy... Tych chwil nie zapomnę nigdy... Drżałem na myśl, że mój podstęp się wyda... Byłem wprawdzie wycieńczony i chudy, jak szkielet, ale bałem się, czy odegram do końca swą rolę.

Wszystko poszło pomyślnie. Tęgi żołnierz schwycił mnie w ramiona. W tej chwili spostrzegł, że byłem ciepły.

— Ho, ho — zawołał — ten nieboszczyk jeszcze świeży, gorący.... Ale to nic nie szkodzi, w drodze ostygnie!

We dwóch z Kafrem wrzucili mnie na wóz, na mnie inne ciała i za chwilę byłem przywalony trupami...

Brak mi słów do opisania wstrętu, przerażenia i strachu, jaki mię w jednej chwili opanował. Pomimo, że byłem zdecydowany na wszystko, aby tylko odzyskać wolność — omało nie zacząłem wołać o pomoc! Trupie zimno otaczało mnie ze wszystkich stron... z ciał, leżących na wierzchu i wstrząsanych ruchem wozu, sączyły się na mnie ohydliwe wydzieliny.

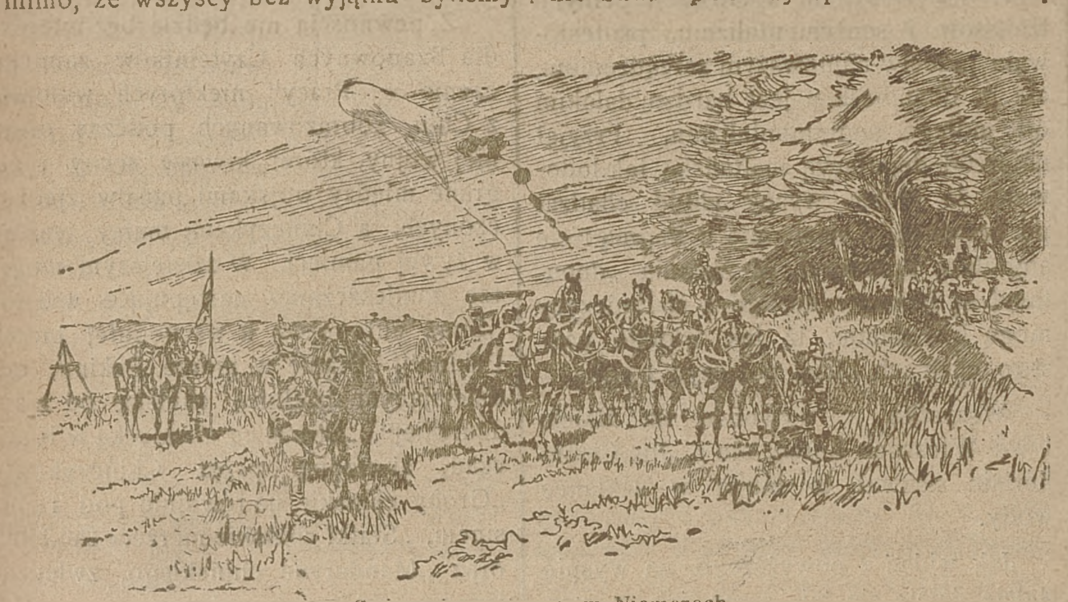
Myśl o wolności, o rodzinie dodała mi sił... Zapanowałem nad sobą... Leżałem nieruchomo pod trupami, dusząc się od nieznośnego odoru. Na przebycie drogi do cmentarza trzeba było kwandransu czasu. Ten kwandrans wydał mi się wiecznością. Nareszcie wóz zajechał na cmentarz... Wyrzucono mnie z trupy nad brzegiem ogólnego, wielkiego grobu...

Kafr i żołnierz wsiedli na wóz i odjechali. Pozostał jeden tylko na szczęście, grabarz... Zanim zdążył się dotknąć najbliższego trupa, zebrałem resztę sił, skoczyłem jak tygrys i schwyciłem go za gardło... Po chwili wypuściłem z rąk sinego trupa... Rozpacz dodała mi sił...

Jak szalony rzuciłem się do ucieczki. Pędziłem przez puste pola, nie oglądając się... Przeszło pare godzin — biegłem ciągle, nie spotkawszy żywej duszy, dopóki nie padłem bez przytomności.

Gdy odzyskałem zmysły i przypomniałem sobie wszystko, co się tego dnia stało, zdawało mi się, że przeszedłem sen okropny...

Chwiejąc się na nogach, czołgając prawie, począłem iść dalej, szukać mieszkania ludzkiego, gdziebym mógł wyżebrać chleba i odzieży... Wkrótce zna-



Ćwiczenia wojenne w Niemczech.

lazłem się na polu, gdzie niedawno odbyła się bitwa... Dokoła nie było nikogo. W kępie gęstej trawy spostrzegłem zabitego Boera. Zdjąłem z niego odzież i obuwie — miałem nareszcie czem okryć nagie swe ciało.

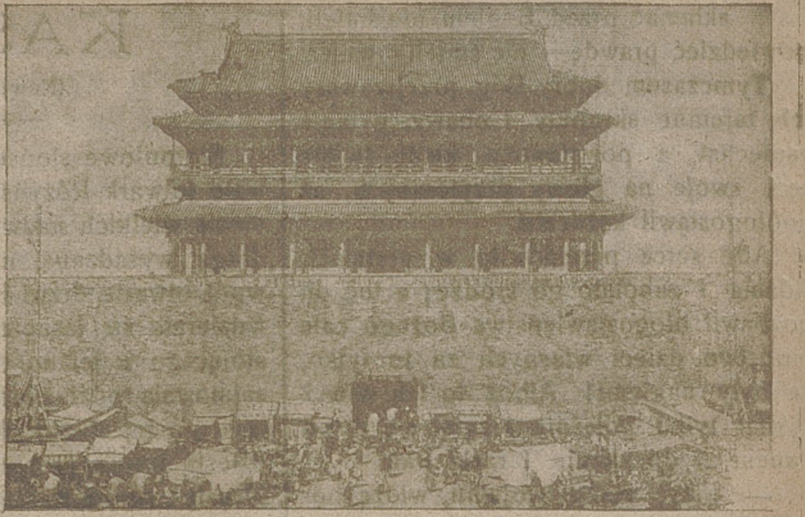
Przez kilka tygodni błądziłem tak, bez dachu i schronienia, żywiąc się często jedynie korzonkami i jagodami, gdyż nie mogłem zdobyć innej żywności. Sto razy groziło mi niebezpieczeństwo wpadnięcia w ręce Anglików. Lecz Bóg mnie nie opuścił i zdołałem wreszcie dostać się do Lourenzo-Marques. I tu jednak nie byłem jeszcze ocalony. Portugalczycy chcieli wydać mnie władzom angielskim i byłbym zginął, gdyby nie szlachetny kapitan okrętu włoskiego, Sarbucetti, który wydobył mnie z rąk zdradzieckich Portugalczyków, ukrył na okręcie i odwiózł do Genui. Tu zacny człowiek umieścił mnie w szpitalu i opiekował się mną, dopóki nie wyzdrowiałem zupełnie. *m.*

Z legend ludowych.

Panowie i kmiecie.

Gdy za grzech pierworodny Pan Bóg wygnał pierwszych naszych rodziców z ogrójca rozkoszy, poczęły im się rodzić dzieci. Nie dziwo tedy, że po stu latach małżeńskiego pożycia, pełna ich była Adamowa chałupa. Tem bardziej, że Ewa nie to co nasze baby, rodziła co rok i nie pojedyńczo — jeno po parze, a zdarzały się i trojaczki.

Brał się też Adam praojciec na pazury, aby wyżywić te liczne pociechy, zabiegała Ewa pramatka o przyodziewki, pomimo wszakże całą ich usilność, nie wszystkie dzieci i nie zawsze bywały syte, a co młodsze bębny chodziły całkiem nago. Bo też były i bębny! nie to co nasza dziatwa: ledwie urodził się który, — już garniec mleka mu podaj! a na powijaki dla noworodka sztukę płótna przyszykuj! No, i lata dzieciństwa nie tak się rachowały, jak obecnie: trzydziestoletni synal Adamowy, chociaż głową sięgał pułapu w matczynej świetlicy, nosił jeszcze koszulę w zębach; a czterdziestoletnia dzieweczka poczynała zaledwie pasać gęsi.


Pekin. Brama w murze, oddzielającym dzielnicę chińską od mandżurskiej.

I stało się pewnego razu, że gdy Adam potężnym pługiem, we dwa olbrzymie wcły, w pocie czoła niewdzięczną krajał ziemię, ukazał mu się Pan Bóg. Struchlał pracowity oracz, gdyż od czasu wygnania Pana Boga nie widywał. Struchlał tedy, a upadłszy na twarz, czekał co powie, drżąc nie tyle o siebie, ile o liczną swoją rodzinę, ale Pan Bóg uspokoił go, mówiąc:

— Powstań, Adamie, a nie bój się: albowiem zstąpiłem z niebiosów, abym pobłogosławił potomstwu twojemu.

Słysząc to, rozradował się praojciec, ale i zafrasował; przypomniała mu się nagość własna i żony po grzechu pierworodnym i kłopot z tego powodu przed gniewnym Jehową, — i zląkł się o nagość swoich bębnów.

— Panie! — rzekł przeto — wdzięczen Ci jestem nieskończenie za Twoją łaskę, ale nim wnijdziesz pod strzechę sługi Twojego, pozwól niech się maluczko przygotujemy wespół z małżonką.

A Pan Bóg:

— Przygotujcie się — rzecze; — wyznaczam obojgu wam na to dobę całą.

I zniknął.

Adam zasie do chaty, do małżonki, z wielką nowiną, jak nieprzytomny pobieżał, zabaczywszy nawet wyprządz woły z jarzma. Pracowita Ewa tkała właśnie, przybijając z wielkim łoskotem, potężną nawalnicą wzorzysty marginis, ale usłyszawszy nowinę mężową, zaniechała roboty i rozradowała się i zakłopotała z kolei. Skąd wezmą koszul na takie mnóstwo bębnów-gigantów? Rada w radę, aż stanęło na tem, że te tylko dzieci, które posiadają przyzwoitą odzież, pokażą Stwórcy; resztę zaś zamkną w komorze lub ukryją za piecem.

Nazajutrz, ledwie zaświtał poranek, Ewa krzątała się już po chacie. Uprzątnęła ją tedy, umyła i poubierała ochędożnie wybrane dzieci, naczyniła podpłomyków, stół białym obrusem nakryła, wreszcie ogarnęła się sama, siadła do kołowrotka i tak, przy uczciwej pracy, na Stwórcę czekała.

Czekał-ci Adam również, ale u przyżby.

I nie chybił dobry Bóg obietnicy: punkt o zapowiedzianej porze ukazał się znowu Adamowi. Ten upadł przed Nim na twarz, ale Stwórca podniósł go dobrotliwie i Ewę, która przypadła w progu do stóp świętych, podniósł także, a błogosławiąc obojgu, wszedł do świetlicy, za stół siadł i podpłomyka łaskawie skosztował. Zaczem stawiło się Adamowe potomstwo.

— Czy to wszystkie wasze dzieci? — zapytał Pan Bóg małżonków.

Ale ci rumienili się i milczeli. Było im nie-


Straż europejska u wschodniej bramy Pekinu.

ko: skłamać przed Bogiem nie śmieli, powiedzieć prawdę — nie śmieli również.

Tymczasem dobry Bóg, przejrzawszy ich tajemne skrupuły i obawy, pytania zaniechał, a powstawszy, kładł święte ręce swoje na głowy przytomnych, aż pobłogosławił każdemu.

Alić serce przemówiło w piersiach Adama i zabolało go srodze; a toć on pozbawił błogosławieństwa Bożego całe mnóstwo dzieci własnych za to tylko, że były nagiemi! Alboż to ich wina? Jęknął tylko boleśnie i zgiął się przed Panem aż do ziemi. I rzekł Pan:

— Ulżyj sercu twojemu, widzę bowiem, iż je gniecie kamień wątpliwości.

I odważył się Adam zadać Bogu pytanie:

— Oto pobłogosławiłeś dzieci moje — rzekł; — któreż z nich osiągną Królestwo Niebieskie, aby Cię chwaliły przez wieczność?

A Pan Bóg na to:

-- Zaprawdę, powiadam ci, Adamie, iż wszystkie nagie i głodne, któreceś pochował przede mną za piecem i pozamykał w komorze, będą królowały z Bogiem swoim aż na wieki.

Tu Pan Bóg zniknął, a pierwsi rodzice nasi długo rozmyślali nad znaczeniem usłyszanej obietnicy.

I stało się dalej, że błogosławione dzieci Adamowe ubierały się coraz dostatniej, a posiadłszy ziemię, żywiły się coraz obficiej, bo łaskaw był Pan Bóg na szczęśliwe, dla błogosławieństwa, które na nich spoczęło. Ale i głodni i nadzy, i kryjący się i skrywani, jak wonczas, tak i potem i ninie, są również dziedzicami Królestwa Niebieskiego.

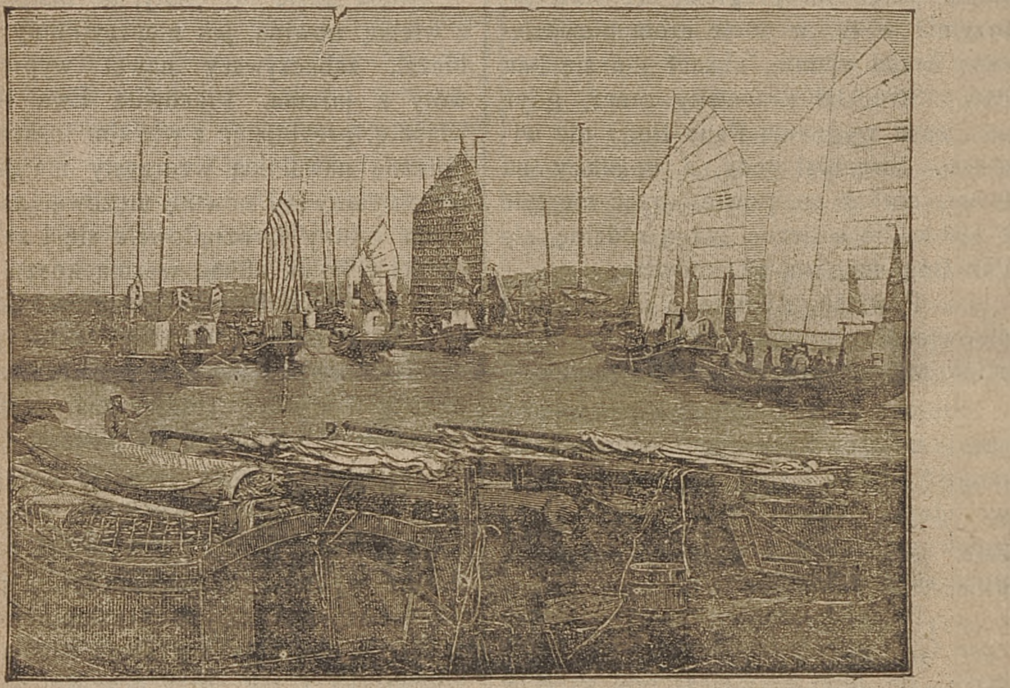
Pierwsi, ubłogosławieni, to szlachta dziedziczna czyli panowie; drudzy — śmieciami albo chłopami się zowią.

N. E. I.

KASIA.

(Nowelka.)

Sierpniowe słońce, które żarem oblewało folwark Różyński, rzucało krótkie cienie wielkich nadwiślańskich topoli na długą wysadzaną niemi aleję i przez wpół otwarte drzwi i niewielkie okienko wdzierało się jasnemi smugami do izby stojącego w jej końcu czworaka. Izbę tę zajmowała rodzina furmana Macieja, wziętego do tej służby jeszcze przed dwudziestu laty z prostego gospodarskiego fornala. Koło Maciejowej, która wielką drewnianą łyżką poprawiała ciągle w saganie, bo właśnie nadchodziło południe, kręcił się mały, jasnowłosy, trzyletni może chłopiec. W kącie warczały żarna, poruszane silną ręką kobiecą. Bliżej okna, kołyskę urządzoną z płaskiego koszyka zawieszonego na czte-



Statki chińskie na rzece Pei-Ho.

rech sznurkach u belki pułapu, poruszała, siedząc na prostym stołku, młoda, siedmnastoletnia córka Macieja, Kasia. Widocznie machinalnie kołysała śpiące w koszyku maleństwo, bo wzrok jej błądząc, biegał ciągle za drobnemi muszkami, które przelatując przez smugi słonecznego światła, błyszczały jak złote, dopóki nie znikły po drugiej stronie w szarym półcieniu izby. Myśl jej jednak daleką była od chwili obecnej, i widać, że skupiły się w niej wszystkie siły młodej duszy, bo dziewczyna siedziała już od dawna milcząca i prawie nieruchoma.

Maciejowa zwróciła się do syna, przeciągając pieszczotliwie każdą ostatnią zgłoskę zapytania:

— Jasiu!

— Cio?

— Chces grosiu?

— Ni!

— Chces pękosiu?

-- Ni!

-- Chces klusiów?

— Ni!

— A to naści złamany patyk w gębę — zawołała rozgniewana matka, podnosząc do góry wielką łyżkę.

Przestraszony dzieciak począł się cofać tyłem, lecz na nieszczęście, zawadził o wyciągniętą nogę Kasi, przewrócił się nawznak i zaniósł od płaczu. Kasia, wyrwana nagle z zadumy, zerwała się na równe nogi i rzuciła ku chłopcu, lecz nim zdążyła go podnieść, poczuła na sobie skutki gniewu macochy, który zwrócił się nagle ku niej.

— Żeby mi się bez ciebie dziecko zabijało, ty! ty! tu!... — wołała, uderzając raz po raz warząchwią.

— Ady matulu! Ady matulu! — wołała dziewczyna, zasłaniając się ręką od niespodzianych uderzeń.

Wtem ucichły naraz warczące dotąd żarna, na środku izby rozległy się niezrozumiałe urywane dźwięki:

— A wwe... ue... ue... ua... e... e... wue... ue... e... — i pomiędzy macochę a Kasię wpadła rosła, czterdziestoletnia kobieta, objaśniając żywymi ruchami rąk i głowy niejasne dźwięki, które wydawały jej usta. Była to głuchoniema siostra Macieja, nazywana we wsi niemową. Na jej dobrodusznej, zwykle głupowato uśmiechniętej twarzy, malowało się teraz rozdrażnienie i odwaga.

— Czego leziesz! głucha! — zawołała zaperzona Maciejowa, odpychając ją gwałtownie.

Ale niemowa, zwykle spokojna i łagodna, stanęła teraz w wojowniczej postawie. Jej ruchy stawały się coraz żywsze, twarz coraz czerwieńsza, a oczy nabrzmiały łzami, które czuć też było w bezwładnych, a jednak jak gdyby dobrze zrozumiałych dźwiękach obrony:

— A wwe... ue... ue... ua...

Kasia wybiegła z czworaka.

* * *

Przez otwartą furtkę wpadła do dworskiego ogrodu, przebiegła cały ogród „dolny“ przebyła po kładce maleńką strugę, oddzielającą „stary“ ogród, minęła długą, leszczyną ocienioną lodownię, olbrzymią starą lipę z wielkim pod nią, służącym za ławkę kamieniem, i pod grabowym, niegdyś widać starannie strzyżonym, lecz dziś już na dziko zapuszczonym szpalerem, zakrywszy oczy rękoma, rzuciła się w wysoką trawę. Przez długi czas słychać było tłumione głośne łkanie. Potem, uspokoiwszy się nieco, usiadła na ziemi, oczyma pełnemi łez prowadziła białe chmury, przesuwające się pomiędzy zielenią szpalera, a rękoma rwała bezwiednie duże źdźbła trawy, wysoko wybujałe. Burza domowa spadła na nią na

gle, wtedy właśnie, gdy myślała o niewesołej doli. Po śmierci matki, ojciec wkrótce powtórnie się ożenił, ale z macochą, która jej dobrze dawała się we znaki, nie mogła przyjść do ładu. Dla uniknienia swarów domowych oddał ją na służbę do dworu. Złoty to był czas dla młodej dziewczyny! Panny, ledwie trochę od niej starsze, lubiły ją bardzo, a ona sama czuła się wtedy zupełnie szczęśliwą. Już półtora roku minęło, a pamięta tak dobrze, jak dziś...

Biegnie przez ogród... W blasku wiosennego słońca mieni się wzorzyście zielona darnina, pomiędzy jabłoniami, gęsto osypanemi kwiatem, przeciągają strugi ciepłego, wonnego powietrza, gonią się z głośnym krzykiem żółte wilgi, przelatując nizko i strącając z gałęzi garście bladoróżowego puchu... dokoła brzęczą pszczoły... świegocą drobne ptaszki, a ona sama, biegnąc wpoprzek przez trawniki, wdzięcznym swym młodym głosikiem wesoło zawodzi:

„Oj danaż moja dana!
„Oj ni miała ja wiana!
„Da ino carne ocki.
„Da wydała sie sama! hu ha!"

— Coś ty dziś taka wesoła, Kasiu?

— Albo ja wiem, panienko? Patrzę na słonko, że świeci, i zdaje mi się, że to dla mnie; patrzę na jabłonki, tyle kwiecia i tak pachnie, i widzi mi się, że to dla mnie, i ptaki dla mnie śpiewają, i wszystko!

„Oj powiedajo ludzie:
„Oj, ze mnie bida bedzie!
„A ja ludziom powiedom,
„Da ze sie bidzie nie dom! hu ha!

— i pędzi dalej, jak strzała.

A potem? O, potem znacznie gorzej! Powiedzieli jej, że Urbanek, kędzierzawy chłopiec stajenny, tego roku staje do wojska. Sama nie wiedziała, dlaczego ją to tak obeszło; nie wiedziała, dlaczego smutno jej było, gdy spostrzegła, jak on się tem niepokoi. Aż dopiero, gdy w zimie siadł do sani i razem z innymi chłopcami ze wsi pojechał „do powiatu", i gdy nazajutrz nie wrócił, ścisnęło ją za gardło, poczuła, że się coś w niej, czy koło niej odmieniło.

I przyszła znowu wiosna, znowu wilgi, goniąc się po ogrodzie, otrącały z puszystych jabłoni garście różowego kwiecia, znowu słońce ciepłem światłem oblewało trawniki, brzęczały pszczoły, świegotały ptaki, ale ona czuła, że i jabłonie kwitną i ptaki świegocą, i słońce świeci — nie dla niej. I było jej jakoś dziwnie. Więc zamiast dawnej wesołej piosenki, powtarzała sobie z cicha:

— Czy też on kiedy wróci?... czy wróci?...

Z rozmyślania tego wyrwał ją głos ogrodnika:

— A czego to siedzisz w trawie? nie mogłabyś iść do stodoły? tam dużo rąk dzisiaj potrzeba!

Obudzona, powstała zwolna i poszła przez ogród ku folwarkowi. Minęło już południe, lecz w powietrzu było nieznośnie parno, w obawie więc zmiany pogody zwożono z pospiechem ostatnie kopy z pola. Kasia wzięła machinalnie za widły, weszła na zasiek i odrzucała dalej snopki, podawane jej z fury przez parobków, odrzucała bez rachuby i uwagi, a w dzisiejszem pognębieniu, o czem tylko myśleć zacznie, wciąż, jak nigdy, powraca to same zapytanie:

— Czy on kiedy wróci?... czy wróci?...

O gdyby to on tam stał na dole i podrzucał jej snopki, nie takby szła robota! Śpiewałaby sobie wesoło, tak

Tymczasem od kilku minut pociemniało na dworze, chociaż chmur wielkich nie było, i niewiadomo skąd możnaby się burzy spodziewać. Nie kazała ona jednak długo na siebie czekać. Nad lasem, w jednej chwili ukazał się bury tuman i pędził z nieporównaną szybkością. Pod pierwszem uderzeniem wichru pokłoniły się gwałtownie szczyty włoskich topoli i wielkie garście słomy z przed stodół wyleciały w powietrze. Niepodobna się było jeszcze rozejrzeć, kiedy straszliwa nawałnica uderzyła całą siłą. Na dworze pociemniało prawie zupełnie; razem z gwałtownym wichrem lunęły potoki nieprzejrzanego deszczu.

Nagle straszliwy huk i trzask zagłuszył wszystko raz i drugi... to dwa pioruny, jeden za drugim uderzyły gdzieś tuż, tuż... Przez fale deszczu, bijące gwałtownie o ziemię, nic nie widać naokoło, tylko na dziedzińcu przesunęły



Groby chińskie na równinie pod Tientsinem

jak teraz jej towarzyszki. A tu przytem tak duszno, tak nieznośnie gorąco!... Poszłaby do domu, ale tam ojca prawie niema, a macocha, chociaż dla jej wyręki porzuciła służbę we dworze, nie lubi jej i często poturbuje; jedna tylko niemowa zawsze się do niej zwraca przyjaźnie i uśmiechając się gładzi ją po ciemnych włosach, ale cóż? z tą nawet słowa zamienić nie można! nie słyszy, nie zrozumie!

A w stodole gorąco coraz dokuczliwsze. Wszystkim ręce opadają ze znużenia. Robota na chwilę ustaje.

— Wody! wody! nie wytrzymam — woła Kasia, zawijając się w czerwoną chustę.

— Nie leć! nie leć! — wołają za nią liczne głosy, bo widocznie burza nadciągała do folwarku.

Ona już jednak nie słyszy, biegnąc szybko ku studni, na dziedzińcu.

się jedna za drugą dwie jakieś ogromne ciemne szmaty i znikły w plusku wody świście wichru, gwałtownem szamotaniu się okiennic i trzeszczeniu wiązań dachów, z których stare gonty, wyrywane garściami, rozlatywały się dokoła.

Nagle we dworze zabrzęczały szyby i kilkanaście ich odrazu rozprysło się na drobne sztuki, a jednocześnie kilkadziesiąt kawałków lodu w podskokach po podłodze uderzyło o przeciwległą ścianę. To grad! straszny! niesłychanej wielkości! W pół minuty od strony dziedzińca niema ani szyby, a kupy drobnych i grubszych kawałków lodu, wpadając przez puste otwory, skaczą po ślizkiej podłodze i pod przeciwległą ścianą zalegają całemi warstwami. Jeszcze jedno silniejsze uderzenie nawałnicy, grad rzednie, deszcz ustaje, i otwiera się przed naszem okiem jasne błękitne niebo. Wybiegamy na dwór. W dali,

w stronie, którą poszła burza, słychać jakiś szum niewyraźny.

Jasne, pogodne słońce oblewa całą okolicę; ziemia jak zbudzona po ciężkim śnie, oddycha zielonością mokrą, świeżą, a warstwy lodu, topniejąc i mieniąc się pod ciepłymi promieniami, rozlewają chłód orzeźwiający.

Ale jednocześnie spostrzegamy całą doniosłość klęski. To nie burza, to huragan! Co za spustoszenie! O sto kroków od domu leży skręcona od pioruna i na dwoje rozdarta ogromna olszyna. Na stajni i wozowni, kilkudziesięciołokciowych budynkach, dachu niema ani śladu: te dwie wielkie ciemne szmaty, przewalające się na dziedzińcu, to one właśnie. Jeden dach, rozstrzaskany na strzępy, poleciał na pole, drugi uniesiony na chwilę do góry, runął całym ciężarem na ziemię w stos potrzaskanych belek, żerdzi i gontów.

Na podwórzu gołąb, który nie zdążył powrócić przed burzą, ugodzony w głowę bryłką lodu, trzepoce się po ziemi z wybitem okiem. W ogrodzie liść i owoc pokrywa trawniki, ścieżki i aleje; potłuczona przez grad olbrzymi młoda cebula rozpościera dokoła woń ostrą i nieprzyjemną... W blizkim lesie drogę nawalnicy znaczą szeregi „wywrotów,“ wydartych z korzeniami lub poskręcanych w połowie, a ziemię całą pokrywa kobierzec pączków iglastych, poobcinanych z gałązkami.

Rozejrzawszy się dokoła, przyzwyczajamy się nareszcie do skutków tej nagłej, niespodzianej a potężnej burzy, połykamy chciwie świeże chłodne powietrze, dziwiąc się ilości i wielkości gradu, który pomimo tak ciepłego słońca, leży dotąd w sporych białych gromadkach. W powietrzu spokój zupełny trwa godzinę jedną, drugą...

Wtem wpada służąca przestraszona, zadyszana i woła przerywanym głosem:

— O la Boga! jej! o la Boga... to naszą Kasię... zabiło...

— Co? gdzie?

— Dach... z wozowni dach... zabił...

Wybiegamy przed dom i pędzimy we wskazanym kierunku. Około wielkiego stosu połamanych gontów i krokwi, stoi i schyla się już kilka postaci. Z otwartych drzwi stodoły biegną ludzie jedni za drugimi, dziewczyny płaczą, chłopcy i mężczyźni biegną w milczeniu. Przez drogę służąca, płacząca i zadyszana, opowiada nam, jak ktoś idąc do stodoły, spostrzegł wystający z pod gontów kawałek czerwonej chusty. Uderzony tem, odgarnął z wierzchu gonty i przerażony poleciał z wieścią do stodoły.



Mandaryn chiński zwiedzający posterunek wojenny.

Za chwilę jesteśmy na miejscu. Pod ogromną szarą masą pogruchotanego drzewa leży bez ruchu, martwa młoda dziewczyna. Z pod czerwonej chusty wysuwają się blade, posiniałe palce, na twarzy niema wyrazu przerażenia ani rozpaczy, lecz łagodny, spokojny smutek. Śmierć musiała nastąpić niespodziewanie i natychmiastowo, od uderzenia spadającą belką, bo na całej skroni rozciąga się jeden wielki siniec.

Koło zabitej robi się tłumno, ale nikt nic ruszyć nie śmie: tak musi wszystko leżeć, aż przyjedzie „sąd.“ Tymczasem dowiedziano się już na wsi o wypadku. Przez długą aleję biegną ludzie, to pojedyńczo, to po kilkoro, kobiety zawodzą głośny lament, i wkrótce około zburzonego dachu zbiera się spora gromadka ludzi; jedni stoją w milczeniu, jakiem przejmuje człowieka groza śmierci, inni objaśniają sobie wypadek i czynią przypuszczenia:

— Żeby jeszcze trzy kroki dalej, toby już uciekła...

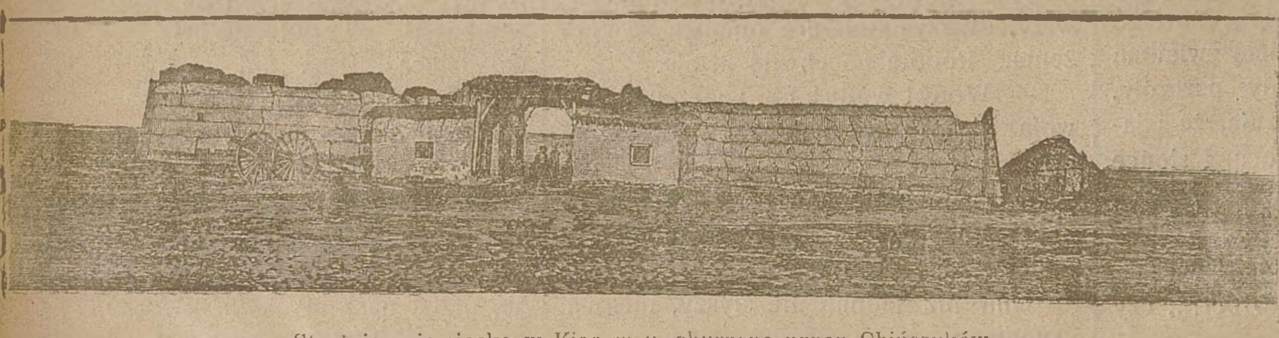
Lecz już zmrok zaczyna zapadać, ludzie ze wsi powracają do domu, inni jednak dowiedziawszy się później o nieszczęściu, przybywają dopiero, tak, że około miejsca wypadku ciągle spora stoi gromadka. Wszyscy mówią po cichu. Dziewczęta zapłakane ocierają oczy rękawem.

Nadchodzi noc. Na tle nieba rysuje się czarny stos belek, gontów, i kilkanaście ciemnych ludzkich postaci. Rozlegający się za stodołą turkot sprawia w gromadce ruch nieznaczny; jeden drugiemu szepce: „Maciej wraca...“ — i następuje długa chwila ciężkiego oczekiwania. Maciej cały dzień był w mieście powiatowem, odległem o trzy mile, i nie wie, jak ciężkie czeka go nieszczęście.

Z za stodoły wysuwa się bryczka, i tocząc się zwolna, staje przed gankiem. Maciej wie już o wszystkiem od żydków sąsiedniego, o wiorstę odległego miasteczka. Oddał konie chłopcu stajennemu, a sam skierował się wolnym krokiem ku gromadce ludzi, oczekujących go w milczeniu nad martwem, niewyraźnem już wśród zmroku ciałem. Stanął nad niem w milczeniu, w milczeniu, od którego kobietom łzy przybrały na nowo, popatrzał na bladą, ledwie już widoczną twarzyczkę i z ciężkiem westchnieniem wrócił do stajni, odprzągł i uwiązał konie i znowu do zwłok Kasi powrócił.

A tymczasem wybiegł na niebo księżyc i przedzierając się przez szereg wysmukłych włoskich topoli, w dziwne, nieregularne kształty pooświecał wielką, pogruchotaną masę drzewa, [illegible]trzącą się nad swoją mimowolną ofiarą. Ludzie rozeszli się, pozostał tylko „na warcie“ stróż nocny, z niedostępnym swym towarzyszem, wielkim, czarnowłosym psem, Krukiem.

Maciej usiadł pod ścianą. Ostatnie krokwie ze szmatami gontów zwieszały mu się na głową, grożąc co chwila skaleczeniem. U nóg jego zaczynała się już ta nieregularna, niekształtna góra, w którą rozsypał się dach po upadku. Cień od niej szeroki padał na usianą odłamkami ziemię i zakrywał w całości Kasię, którą zaledwie dojrzeć było można. Ale wkrótce księżyc wypłynął wysoko i rysując coraz to inne cienie, wciskając się przez luki i szpary między porozrywanymi gontami, słabem



Strażnica niemiecka w Kiao-czau, zburzona przez Chińczyków.

światłem oblał bladą twarz martwej, i lekko rozwarte usta. Teraz dopiero Maciej dostrzegł jej rysy. Z ponuro pochyloną głową siedział wciąż pod ścianą, nie spuszczając oka z umarłej. Poszedł do niego stróż nocny, tłómacząc, że reszta dachu może mu spaść na głowę, — ale on go nie słyszał; podbiegł stary Kruk, co pół swego życia spędził w stajni, oparł mu pysk na kolanach i czekał, kręcąc ogonem, — ale on go nie widział. Dopiero gdy poczuł, że ktoś z boku pociąga go za rękaw, i posłyszał koło siebie zdławione, przerywane łkanie niemowy, ryknął płaczem pełnym głębokiej żałości i zataczając się, powlókł się do domu przez długą cienistą aleję. Daleko już byli, już zaledwie zdala majaczyły się ich postacie, a jeszcze słychać było głośne zawodzenie ojca i urywane, niewyraźne łkanie niemowy:

— A wwe—ue... ue... a wue... u... u...

* * *

Na trzeci dzień, pod wieczór, odprowadzano na cmentarz miejscowy prosto ociosaną trumnę. Stary Maciej szedł za wozem ponury, płakała cicho niemowa i macocha. Rówieśnice Kasi lamentowały głośno. Jedna z nich przypadła na murawie przydrożnego rowu i płacząc zawodziła:

— Nie masz cię, Kasieńko moja! Gdzieś mi się podziała?

* * *

A pod okopami Plewny, w długim rowie za wałem, pomiędzy rzędem czuwających w nocy szeregowców, siedział młody jasnowłosy chłopak. Ten także powtarzał sobie po cichu:

— Gdzieś mi się podziała?... — i dodawał zaraz w myśli: „Czy ja cię kiedy zobaczę?..."

A wiatr, może ten sam, który szalał niedawno ponad cichym Różynem, szumiał teraz po bagnetach, i zdawało się, że w jego niewyraźnym swiście słychać było jedno straszliwe słowo odpowiedzi, słowo, przed którem kona nadzieja „Nigdy!"

I przeszła znów zima, i znowu nad Różynem świeciło pogodne, wiosenne słońce. I jabłonie stały osypane bladoróżowem kwiciem, zieleniały trawniki, goniły się wilgi, potrącając puszyste gałęzie, brzęczały pszczoły, świegotały ptaki, — ale Kasia miała słuszność: i słońce świeciło, i ptaki śpiewały, i jabłonie kwitły — dla siebie.

Z.

Nie zapominaj!

„Nie zapominaj o mnie," woła kwiecie,
Co łąki nasze ozdobiło w lecie! —
„O nie zapomnij w bólu i cierpieniu,
„O nie zapomnij w szczęściu, upojeniu
„O tem, żem serce moje złożył w dani
„U stóp twych małych, moja piękna pani,"
Woła młodzieniec do swej ukochanej,
Kiedy ją żegna, — rozstaniem stroskany.
„O nie zapomnij rad moich, dziecino,„
Mówi i żegna matka się z dziewczyną,
Co szukać chleba idzie w świat do ludzi,
Świetnej przyszłości obrazem się łudzi.
„Nie zapominaj o moich przestrogach
„Choć stąpać będziesz po wysokich progach."
Takiemi słowy żegna ojciec syna,
W nim jego chluba, nadzieja jedyna
„Nie zapominaj, żeś ty Polski synem,
„Dobro Ojczyzny szczęściem twem jedynem,
„Za pracę musisz przysporzyć Jej chwały,
„Mierząc się z wrogiem, w uczuciach swych [stały."
„Nie zapominaj," rzekła siostra bratu,
„Że tylko wtedy oddajesz się katu,
„Gdy nędzne życie pędzisz i bezczynne.
„Przed okiem twojem winny stać promienne
„Postacie ludzi, co dla Polski żyli,
„Dla niej katusze, męki, głód znosili.
„Więc choć mozolną obarczysz się pracą,
„Choć spotkasz ludzi, co pieniądz, czas tracą,
„Co dla rozkoszy żyją i bez celu,
„A takich znajdziesz jeszcze bardzo wielu,
„Pracuj! bo praca i Twoje cierpienie
„Przyspieszą tylko narodu zbawienie!"

Jadwiga Wyrzykowska.

Anna.

(Obrazek.)

Ślicznie była położona wieś: „Dobra Wola." Z jednej strony błyszczała srebrna tafla jeziora, czysta, przezroczа jak dusza dziecka, dalej bór ciemny, poważny, szumiący, a jeszcze dalej łąki zielone, pola falujące złotym kłosem i czarnoziemne ugory. Sama wieś położona trochę w dolinie musiała zachwycić każdego.

Chata przy chacie, czysto wybielona, miała w około maleńki ogródek pełen kwiatów, latem już zdaleka odbijały na białych ścianach ogromne słoneczniki i kolorowe malwy, a z za gęstej zieleni bluszczów i powojów wyzierały zalotnie błyszczące szyby okien i drzwi ciemno malowane, naznaczone krzyżem z kredy i literami K. † M. † B. — Dodajmy do tego mieszkańców cichych i spokojnych, prawdziwie ludzi dobrej woli, a wioska nasza stanie się kawałkiem raju, przeniesionym przez jakąś dobrą wróżkę na ten padół łez i nędzy.

Na samym końcu wsi oddalona nieco od innych stała mała chatynka. Mieszkali tam niegdyś ubodzy komornicy, ale ona umarła wkrótce po sprowadzeniu, a on nie mając spokoju w izdebce, gdzie mu wszystko o zmarłej mówiło, powędrował w świat i chatka stała pustkami. Pochyliła się też i skrzywiła z czasem, dach zapadł z jednej strony, a wiatr świszcząc przeraźliwie w kominie straszył przechodniów. Nagle gruchnęła po wsi wieść, że do chatynki sprowadziła się jakaś nieznajoma. Kobiety, — jak kobiety zawsze ciekawe, — wracając wieczorem od siana nadłożyły kawał drogi, aby tylko przejść koło pustkowia i zobaczyć lokatorkę.

Nie zobaczyły jednak wiele, ale zgodziły się wszystkie na jedno: że nowoprzybyła jest jeszcze młoda i ładna i chodzi w czarnej sukni. Mówiono o niej dzień i drugi, mówiono i trzeci, ale później chatka na pustkowiu i jej tajemnicza mieszkanka zeszły na drugi plan.

Widziano tylko, jak codzień w gładkiej czarnej sukience szła przez cmentarz do kościoła, a czasem na probostwo. Pozatem nikt jej we wsi nie widywał. Zdawałoby się, że unikała ludzi, bo nawet gdy jej przyszło wody zaczerpnąć u studni, — to wybierała zawsze takie godziny, gdzie nikogo tam spotkać nie mogła.

Dziewczyna Grzesiakowa, służąca na probostwie, opowiadała tylko w domu, że ksiądz jej mówi „Anno", — a ona jemu „opiekunie", — że namawia ją, aby się na probostwo przeniosła, ale ona na to zaczyna mu zawsze coś przedkładać i całuje po rękach i płacze tak długo, aż i proboszcz nie zacznie płakać, i wtedy się rozchodzą: on z brewiarzem do ogrodu, ona przez cmentarz wraca na pustkowie.

Tak płynęły dni, — tygodnie, — miesiące, Anna żyła cicho nieznana w Dobrej Woli, nic się nie zmieniło w jej życiu, ani ona nie zmieniła się w niczem.

Było to właśnie we żniwa. — Niedaleko chatki na szerokiej drodze, po której przejeżdżały wozy z żytem, bawiła się gromadka dzieci. Anna stojąc oparta o płotek ogródka, zakryta oczom dziatwy przez gałęzie dzikiego bzu, patrzyła z zazdrością na rozbawione maleństwa. Przed oczyma jej przesuwały się obrazy własnego dzieciństwa, i gorzka łza, jak perła, spadła z dużych modrych oczu na czarny stanik.

Widziała się najpierw ukochaną jedynaczką, pieszczochą ojca i matki, nieznającą kłopotów ni troski. Ale potem przyszły chmury.

Przed oczyma zadumanej zabłysło żółte światło świec, — wieńce, i tyle, — tyle kwiatów, — same róże, i blada twarz matki, jakoś dziwnie zimna, spokojna, — i czarny kir, łzy ojca, krewnych, domowników, a potem.... potem już wszystko w nieładzie. Karawan, ciemny otwór grobu i gości pełen dom.

ale wszystko ciche, poważne. I znowu promień słońca. Znowu kwiaty i goście, ale inaczej, weselej w domu, rozmowa jej z chrzestnym proboszczem, z której przypominała sobie tylko słowa — „bądź dobrą i rozsądną przez pamięć twej matki", — potem przyjęcie i macocha, ale jakaś inna wcale nie podobna do matuni i brat i siostra o wiele starsi od małej Anusi. Po chwili światła znów chmury.

Anna widzi drobną, złotowłosą sierotkę tulącą się do białego krzyża na grobie w cieniu lip i skarżącą duchowi matki swe prześladowanie. W małem serduszku szalała burza, ale miał w nie jeszcze uderzyć grom.

Niezadługo Anusia odprowadziła na cmentarz zwłoki ojca i obok mogiły matusi wyrosła nowa, świeża mogiła, równie starannie przez nią pielęgnowana.

Wszystkie te wspomnienia rozpierały głowę młodej dziewczyny, napełniając bólem, jak wtenczas, gdy wróciwszy zalana łzami z cmentarza upadła na kolana w swoim pokoiku, cisnąc do ust ostatnią pamiątkę pozostałą po rodzicach: złoty medalion z ukrytym w nim promieniem jasnych i kruczych włosów. Anna westchnęła i przycisnąwszy ręką ściskające się serce dumała dalej. W niespełna rok po śmierci ojca, — ojczym objął rządy nad ojcowizną, sierota zeszła na ostatnie miejsce. — Ale i dla niej miały wybić złote chwile szczęścia. Zaręczyła się z człowiekiem młodym i bogatym, i z ufnością zaczęła poglądać w przyszłość. Los jednak nie sprzyjał Anusi.

Intrygi macochy, która na rzekome długi zmarłych wydała cały spadek dziewczęcia, sprawiły, że Gustaw zerwał i nie pokazał się więcej.

Anna opuszczona od wszystkich, prześladowana bezlitosnemi żartami dzieci macochy, napisała do swego chrzestnego i opiekuna, proboszcza w Dobrej Woli, a ten wystarał się jej o pozwolenie mieszkania w chałupce na pustkowiu, gdzie chociaż odcięta od świata nie potrzebowała znosić szyderstw, ani ukrywać swego smutku.

Nic więc dziwnego, że Anna widząc przez gałęzie bzu śmiejące twarzyczki dziatwy wiejskiej — płakała. Z maleńkiego ogródka, jaki sobie założyła przy chatce, płynęła cudna woń róż. Kwiaty te, przypominające jej tak żywo groby rodziców i wioskę rodzinną, stały się ulubieńcami Anusi, lubiła rozmawiać do nich, jak do starych znajomych i pieścić się z niemi. I teraz chciała podejść do grządki, gdy nagle przeraźliwy krzyk rozdarł powietrze, — Anna w sekundzie znalazłszy się na drodze od jednego rzutu oka zrozumiała co się stało.

Aleją prowadzącą wzdłuż wsi, pędziły rozbiegane konie ciągnąc za sobą wóz żniwny, i w szalonym pędzie zbliżały się do gromadki dzieci. Te rozbiegły się jak wróble spłoszone, jedno tylko półroczne maleństwo zostało, napróżno usiłując się podnieść. Szybka jak myśl dziewczyna, jednym susem znalazłszy się przy dziecku zdążyła odrzucić je na bok, sama jednak popchnięta dyszlem przewróciła się pod koła i wóz przeszedł po niej jak huragan.... straciła przytomność.

Kiedy po upływie jakiegoś czasu Anna otworzyła oczy, zobaczyła, że leży na swojem łóżku w chatce, obok stało kilka kobiet, między niemi zapłakana Grzesiakowa.

— Co się stało? zapytała słabym głosem chora.

— O panienko złocista, zaszlochała Grzesiakowa, rzucając się na kolana przy łóżku, toż to panienka mego chłopaka koniom z pod nóg wyciągła, a teraz sama umiera. O Jezu, Jezu! — jęczała zrozpaczona kobieta.

— Umieram — myślała Anna — jaki Bóg dobry, że mi te nędzne dwadzieścia lat życia pozwolił zakończyć miłosiernym uczynkiem — i zażądawszy księdza przymknęła oczy. Przez okienko zaglądały ciekawie pączki róż, a dalej po lazurowem niebie mknęły białe obłoczki, podobne do zwojów gazy, płynąc tak szybko jedne po drugich, coraz nowe, coraz inne....

Nagle Anusi zdawało się, że białe tumany zaczynają przybierać dziwne jakieś kształty, więc otworzywszy szeroko źrenice zaczęła z natężeniem patrzeć przez okienko. Kobiety przypatrujące się jej z litością, potruchlały.

— Chryste miłosierny — szepnęła jedna z nich — toć nieboże już kona, lećcie kumo za Grzesiakową na probostwo, niechby się ksiądz pospieszył, bo przyjdzie za późno.

Anna jednak nie konała. Wpatrując się uporczywie w białe obłoczki, czuła przyspieszone bicie serca, widziała, jak opuszczając się coraz niżej, spłynęły po niebie na ogródek, a wtenczas błysnęła w nich twarz blada, łagodna, dobrze jej znana i patrząca na nią z miłością. — Jak promień księżyca, ciche zjawisko wśliznęło się po gałązce róży przez okienko do izdebki i zatrzymało przy łóżku. Wtedy Anna wyciągnęła do niej ręce:

— O matko! matko moja! — a ona położyła na jej rozpalonem czole rękę chłodną, białą, przezroczystą i do uszu sieroty doszedł głos podobny do szmeru strumyka:

— Przyszłam po ciebie, dziecino! — i wszystko znikło.

Przed oczyma Anusi błysnął złoty deszcz gwiazd i tyle — tyle róż... same czerwone... prawie czarne; zapach ich aż dusił... zemdlała.

Ksiądz udzieliwszy umierającej Sakramentów św., odprawił lamentujące kobiety, aby swemi żalami nie zakłócały ostatnich chwil dziewczynie. Kiedy w dwie godziny później wychodził z chatki, czysty duch Anny uleciał już w lepszą krainę, aby się tam połączyć z duszami ukochanych rodziców.

Grzesiakowa chcąc o ile możności wywdzięczyć się zmarłej zajęła się pogrzebem. Przy ubieraniu ciała znalazła na szyi Anny złoty łańcuszek z takimż medalionem, a w nim dwa pukle jasnych i kruczych włosów. Szanując pamiątkę, włożyła go sierocie do trumny.

Cicho leżała Anusia w prostej drewnianej trumience, blada, spokojna, bez wyrazu bólu lub cierpienia na uśmiechniętej twarzy; w czarnej codziennej sukience, podobną była do białej lilii złamanej igraszką losu. Biedna lilijka...

W trzy dni później pod cieniem ogromnego klonu na cmentarzu w Dobrej Woli wyrosła świeża mogiła, a w niej spoczęła młoda nieznajoma. Nikt ze swoich nie szedł za trumną, nikt nie wdział po niej żałoby, jeden tylko siwy proboszcz i Grzesiakowa płakali.

Dzisiaj grób kryje bluszcz zielony, i rozrastając się bujnie okala kamień z piaskowca, na którym złotemi literami wyryto: „Anna" a niżej: „Spij w pokoju."

Nad grobem zaś szumią poważnie gałęzie klonu, a ukryte w nich ptaszę nuci tęskną pieśń żałobną.

Grylewianka.

KRAKOWIAK.

Choć na naszą zgubę
Niemiec dał miliony,
Łanu nie dostanie,
Co potem skropiony.

Skropiony on potem,
Naszą krwią i łzami,
Więc przy nas zostanie,
Bo Pan Bóg nad nami.

Jadwiga Wyrybkowska.

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

7) **Tłomaczyła P. Otrys.**

(Przedruk wzbroniony.)

(Ciąg dalszy).

— Słyszysz ten śpiew uroczy? zapytał Gwidon.

Nina otuliła się mocniej białym szalem.

— Słyszę, szepnęła, ale nienawidzę słowików, śpiew ich przeraża mnie formalnie. Fabio lubił je.... On w ogóle lubił muzykę i śpiewał czasem sam....

— Ale zawsze fałszywie.

I znowu zaczęli się śmiać oboje.

Potem odeszli spokojni, swobodni, jak gdyby mieli czyste sumienie i jak gdyby zemsta nie zdołała rozerwać tego szczęścia.

Ja stałem ciągle jeszcze w mojem ukryciu i czekałem, dopóki na końcu aleji nie zniknie biała suknia. Potem przed oczami przesuwały mi się jakieś krwawe mgły, głowa płonęła mi jak ogień, ziemia usuwała mi się z pod nóg — wątpiłem o mojem istnieniu! Może byłem rzeczywiście umarły i duch mój powstał z grobu, aby cierpieć za grzechy życia? Czemu świeciły gwiazdy, czemu woniały kwiaty? Czemu Bóg nie zachował mi wierności i miłości mej żony?

Ach, Nina była podłą istotą, godną pogardy, i taka kobieta była matką mego dziecka!

Jak ją ukarać? Jak się pomścić? Na niej i na tym moim najlepszym przyjacielu?

„Idź i zabij ją.“

Gdzie słyszałem te słowa? Namyślałem się długo nad tem i doszedłem do przekonania, że stary tandeciarz lepszym był człowiekiem, niż ja! On pomścił się zaraz, podczas kiedy ja nie skorzystałem z sposobności! Ale czemu nie miałbym się zemścić później? Wszakże są rozmaite rodzaje zemsty! Trzeba tylko wyszukać najlepszy dla siebie, najboleśniejszy dla winnych.

Bo czy hrabia Romani mógłby się stać mordercą?

Nie! Były jeszcze inne drogi wiodące do celu, tylko teraz zanadto mnie bolała głowa, aby o tem myśleć. Usiadłem na pniu drzewa i machinalnie zacząłem zbierać listki, opadłe poprzednio z róży, którą Nina miała przy staniku.

I znów zdawało mi się, że słyszę słowa tandeciarza:

— Idź i zabij ją!

A potem znów to, co mówił o rybaku, którego ubranie miałem na sobie.

— Był to głupiec! Zabił sam siebie!

Tak, był on doprawdy głupi, ja go w każdym razie naśladować nie będę! Wiedziałem, że muszę spełnić jeszcze jakieś dzieło, ale nie miałem pojęcia, w jaki sposób to uczynię. Myśli zaczęły mi się plątać, listki róży odurzały mnie wonią, a jednak nie rzuciłem ich. Włożyłem je w portmonetkę, ostrożnie i schowałem, jak skarb jaki!

Przy tej sposobności przypomniały mi się moje worki ze złotem i klejnotami, które zabrałem dla „niej“ i uśmiechnąłem się mimowoli. Ile ja się namęczyłem, aby odzyskać życie i wolność... A teraz, na co mi się to przydało? Mój majątek był własnością Niny — ale prawda — przecież ja posiadałem miliony w trumnie w naszym grobowcu. Byłem o wiele bogatszym, niż moja żona!

Niezmierna radość ogarnęła moje serce na myśl tych bogactw. Za pieniądze można mieć wszystko, a nawet i zemstę! Trzeba mi tylko wyszukać jakąś zemstę nadzwyczajną, o jakiej nikt jeszcze nie słyszał, a która zaspokoiłaby moje wymagania.

I siedziałem tu długo, w głębokich pogrążony myślach. Nademną mrugały gwiazdy swemi złotemi oczami, księżyc płynął wolno po ciemnym firmamencie — lekki wietrzyk od strony morza poruszał listkami, słowiki nuciły słodką pieśń miłości — wszystko tchnęło pokojem i ciszą....

— Fabio śpiewał — ale zawsze fałszywie...

Tak oni mówili, z okrutnym śmiechem i może — — mieli słuszność! Może ja fałszywie postępowałem....

Nagle przyszła mi dziwna myśl do głowy! Zemsta! O, i jaka!

Zerwałem się i zacząłem biegać jak szalony, zajęty tą jedną tylko myślą! Układałem cały plan aż do najmniejszych szczegółów. Zemsta hrabiego Romani musiała być niezwykłą — bez uniesień i mordów ludzi pospolitych, bez wściekłych porywów, bez hałasów, bez pospiechu! Wszystko miało się odbyć wolno, z namysłem..

Mgły w umyśle moim zaczęły się rozjaśniać, oddychałem teraz lżej, nerwy uspokajały się. Nie zajmowałem się już przeszłością — czemu żałować miłości, której nigdy nie posiadałem! Wszakże oni oboje nie czekali nawet na moją śmierć — trzy miesiące po ślubie już mnie zdradzali — i tak trwało to trzy lata, a ja nic nie widziałem, nieczego się nie domyślałem!

Poznałem teraz, jak smutną odgrywałem rolę i cieszyłem się niezmiernie na myśl odwetu! Moja namiętna miłość dla Niny znikła zupełnie, wydarłem ją z serca, tak samo, jak i przyjaźń dla Gwidona. Na miejscu dotychczasowych uczuć pojawiła się nienawiść i pogarda.

Od tej chwili należało życie moje wyłącznie zemście!

Wyszedłem teraz z ogrodu — szelest jakiś zwrócił moją uwagę na siebie — obejrzałem się i zauważyłem, że służący zamykał bramę. Ale ona przecież była poprzednio zamkniętą? Ah — to Gwidon odchodził! Jak dobrze umieli zachowywać pozory!

Gwidon szedł rzeczywiście drogą, wiodącą do miasta. Minąłem go i spojrzałem mu w twarz. Uśmiechał się, patrzał na różę, którą mu Nina pewnie dała i nucił półgłosem jakąś wesołą piosenkę. Rybak nie interesował go wcale, podniósł na chwilę oczy na mnie i szedł dalej...

Chciałem się rzucić na niego i udusić go, ale zapanowałem nad sobą! Miałem lepsze plany — ten zdrajca będzie musiał dłużej się męczyć! Zemsta powinna dojrzewać w ogniu nienawiści i spadnąć sama, jak owoc z drzewa — zerwana przedwcześnie, jest kwaśną, drętką, jak niedojrzałe jabłko.

Dlatego pozwoliłem memu drogiemu przyjacielowi i pocieszycielowi Niny iść spokojnie dalej.

W Neapolu poszedłem do hotelu i przespałem doskonale całą noc. Byłem zanadto zmęczony wypadkami ostatniej nocy i ostatniego dnia!

Ach, chociażbym miał natychmiast umrzeć, zgodziłbym się chętnie na to, byleby nie przechodzić po raz drugi tego wszystkiego! Za nic w świecie! —

ROZDZIAŁ IX.

Następnego dnia wstałem bardzo wcześnie. Zamiary moje wczorajsze pozostały niezmienne, cały plan był starannie ułożony i potrzebowałem go tylko wykonać.

Niepostrzeżenie wybrałem się teraz do grobowca, zabrawszy z sobą małą latarnią, młotek i gwoździe. Na cmentarzu nie było jeszcze nikogo, wszedłem więc tajemnym gankiem i znalazłem się wnet na miejscu moich cierpień.

Z skarbu złożonego w trumnie wziąłem część papierowych pieniędzy, dwa albo trzy miliony i schowałem je do kieszeni, potem przybiłem wieko gwoździami tak, aby trumna wyglądała nienaruszona, i wyszedłem znowu tą samą drogą. Nie miałem czasu do stracenia — chciałem bowiem wyjechać dziś jeszcze z Neapolu na dwa tygodnie. Gdy się zabierałem do odejścia, spojrzałem na moją własną trumnę i namyślałem się, czy przybić rozbite deski. — — Ale nie, lepiej, że wszystko zostanie tak, jak jest!

Wyszedłem z grobowca, zamurowałem wejście i poszedłem wprost na Molo.

Tutaj wyszukałem wnet łódź nadbrzeżną, której właściciel zamierzał jechać do Palermo i zaraz też rozmówiłem się z nim co do warunków podróży.

Kapitan, nadzwyczaj ugrzeczniony człowiek zażądał sumy, która mi się dosyć nizką zdawała, a która w rzeczywistości była podobno ogromną, ale oszukał on mnie z taką uprzejmością, z tak miłym uśmiechem, że wcale mu tego nie miałem za złe. Zresztą o pieniądze nie chodziło mi wcale!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

19) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Ravanel i Antoni siedzieli długo jeszcze i rozmawiali o tem, co ich czekało. Ravanel znalazł na szczęście w kieszeni woreczek z tabaką, a że obydwaj mieli fajki, przeto palili i szeptali cicho, nie chcąc budzić cesarzowej.

Wicher wzmagał się z każdą nieomal chwilą. Belki chaty trzeszczały, a zdala dawał się słyszeć łoskot spadających lawin, co zupełnie podobnem było do huku piorunów.

— Niech nas Bóg ma w Swej opiece, westchnął Antoni. Jedna taka lawina zmiotłaby tę chatę jak piórko, aniby śladu po niej nie zostało! Byłaby to okropna śmierć!

— Jesteśmy w ręku Boga, odrzekł Ravanel.

— Pamiętam jeszcze, jak to było przed czternastu laty, gdy mieszkałem jeszcze w Argentières. Jest to miejscowość, oddalona od Chamouni o sześć kilometrów. Miałem tam wówczas hotel i małe wiejskie gospodarstwo. Ja zajmowałem się hotelem, rolnictwo zaś i hodowlą bydła powierzyłem memu młodszemu bratu. Był to bardzo porządny i uczciwy chłopak, majątku jednak nie miał żadnego i nadto ożenił się z dziewczyną bez grosza posagu. Oboje mieszkali w górach, czuwając nad bydłem, które słynęło w całej okolicy. Z początkiem jesieni powiedziałem naturalnie bratu, aby się sprowadził z żoną do mego domu we wsi i pomógł mi w zarządzeniu hotelu. Ale on był tego zdania, że to jeszcze za wcześnie, że ciepło będzie tego roku trwać dłużej i że lato tak prędko się nie skończy. I tak został w górach aż do pierwszych dni listopada! Wtedy posłałem mu list przez jednego z moich służących, prosząc go, aby natychmiast opuszczał chatę w górach, tem więcej, że żona jego spodziewała się urodzenia pierwszego dziecka. Służący wrócił szczęśliwie i oznajmił mi, że brat i bratowa przybędą jutro do wsi, ale następny dzień minął, a ich nie było! Powietrze zmieniło się też nagle, niebo było pokryte ciemnemi chmurami, śnieg zaczął padać i szalony wicher wył przeraźliwie. Był to początek zimy.

Wieczorem chciałem jeszcze iść z kilku odważnymi znajomymi do chaty mego brata, aby go, jeżeli zaszło coś nadzwyczajnego, sprowadzić do wsi. Ale moja żona nie chciała w żaden sposób na to pozwolić i widziałem ostatecznie sam, że byłoby to szaleństwem, które narażało nas na śmierć. Odłożyliśmy więc zamiar ten do następnego dnia. Zawieja przecież była tak okropną, że nietylko nazajutrz, ale i przez kilka następnych dni nie można było myśleć o wyprawie w góry. Nareszcie, gdy wicher nieco ustał, wybraliśmy się na pomoc memu bratu.

Straszna była to droga! Upadliśmy w miękki śnieg aż pod ramiona, i dziś jeszcze nie rozumiem, że nie poginęliśmy tam wszyscy razem! I jakież było nasze przerażenie, gdy stanąwszy w końcu na miejscu, gdzie była chata, znaleźliśmy ją całą zasypaną śniegiem. Lawina, staczająca się z góry, pokryła chatę i obory grubą warstwą śniegu, tak, że nie było ani śladu budynków. Postanowiliśmy teraz odkopać chatę i wziąść przynajmniej ciała nieszczęśliwych, aby je we wsi uczciwie pochować! Zebraliśmy się więc do roboty, i po kilku godzinnych, nadludzkich prawie wysileniach, zdołaliśmy odsłonić drzwi do obory. Na myśl okropnej śmierci brata i bratowej stanęły mi łzy w oczach, żal mi też było mego pięknego bydła, które tak marnie tu zginęło, i drżącą ręką nacisnąłem klamkę... Ale któż zdołał opisać nasze radosne zdumienie!

W tejże chwili usłyszeliśmy wszyscy cichy ryk bydlęcy! Jeżeli więc zwierzęta jeszcze żyły, to może i ludzie żyć będą, bo któżby dawał krowom przez sześć dni żywność!

— Dalej, dalej! zawołałem, porywając gorączkowo siekierę.

— Jeżeli brat mój żyje, to wyprawię wam jutro ucztę, jakiej nikt jeszcze we wsi nie widział.

I nie minęło pół godziny, gdy wchodziliśmy do wnętrza chaty.

Mój brat żył, był zdrów, a chociaż czuł się nieco słabym z powodu braku powietrza, to jednak nie tracił ani na chwilę nadziei, że wyjdzie całym z tego śnieżnego grobu. Bratowa żyła także i podała mi na przywitanie chłopczyka, liczącego sześć dni. Dziecko urodziło się właśnie tego dnia, którego mieli wrócić do wsi. Gdy lawina zasypała dom i oborę, wykuł mój brat w śniegu wązkie przejście, łączące obie chaty i tym sposobem uratował bydło, a sobie, żonie i dziecku życie. Mieli przynajmniej mleka pod dostatkiem i nie cierpieli ani głodu, ani pragnienia. Budynki, mocno zbudowane, oparły się lawinie.

Nazajutrz sprowadziliśmy wszystkich do wsi, i brat mój bratowa i urodzone pod lawiną dziecko żyją dziś jeszcze!

Po skończeniu tego opowiadania położyli się obydwaj przyjaciele na ziemię, przykryli słomą, która i tutaj się znajdowała i usnęli tak smacznie, jak gdyby spoczywali w najwygodniejszych łóżkach.

Nazajutrz obudzili się wszyscy troje, pokrzepieni snem, i z nową nadzieją w sercach starali się rozpoznać położenie rzeczy. Cesarzowa mianowicie była spokojna, a nawet wesoła i jej dobry przykład napełniał otuchą obydwóch mężczyzn.

Kawałek chleba i trochę wody, roztopionej z śniegu, było ich śniadaniem.

Zawieja była dziś groźniejszą niż wczoraj. Wiatr ustał wprawdzie cokolwiek, ale olbrzymie masy śniegu spadały z gór i wznosiły coraz to wyższy mur w około chaty.

— Jeżeli to tak potrwa do jutra, westchnął Antoni, to nie będzie już można drzwi otworzyć. Oby się pan Balmat pospieszył z pomocą, łatwo bowiem może być, że przybędzie za późno!

Ale dzień cały minął, nikt się nie ukazywał, i nieszczęśliwi udawali się na spoczynek z tem przeświadczeniem, że w nocy będzie mur śnieżny w około chaty tak ścieśniony, że ratunek stanie się dla nich niemożliwym!

Ravanel i Antoni usiłowali odkopać trochę śniegu od drzwi, ale wszystko to było daremne. Zaledwie odsunęli śnieg na kilka stóp szerokości, spadały zaraz nowe masy i zasypywały wszystko.

— Gdyby ludzie tam nadole, rzekł Antoni, wiedzieli, to tysiące spieszyłyby na pomoc cesarzowej austryackiej.

— W takim razie dobrze, odrzekła cesarzowa, że nikt się tego nie domyśla. Nie zniosłabym tego, gdybym wiedziała, że jeszcze więcej ludzi naraża życie swe dla mnie!

Trzeciego i czwartego dnia doszedł orkan do najwyższej potęgi. Jedna lawina za drugą spadały w przepaście i to nieraz tak blizko chaty, że ostatnia chwila nieszczęśliwych zdawała się zbliżać z przerażającą szybkością. Zawieja ustawała zwolna, ale zimno wzmagało się coraz to więcej.

Drzewa już prawie nic w chacie nie było, ogień gasnął na kominie.

Drżąc z zimna, z siniałemi ustami, biegali nieszczęśliwi po izbie, aby nieco rozgrzać skostniałe członki, które im zaczynały posłuszeństwo wypowiadać. Ręce ich naprzykład były tak zdrętwiałe, że nie byli w stanie nic utrzymać. A zimno stawało się coraz dotkliwsze!

Antoni przeklinał opieszałość pana Balmata.

— Umrzemy tu z głodu i zimna mówił, drżąc z gniewu. Balmat wie przecież, że jesteśmy tutaj, i ani myśli o ratowaniu nas! Pozwól mi, pani cesarzowo, zejść na dół! Przekopię się może przez śnieg i lody i wrócę z pomocą dla was! —

— Zostawiłbyś mnie tu samą? rzekła Elżbieta łagodnie. A gdyby nas w czasie twej nieobecności lawina zabrała? Wtedy pomoc byłaby daremną!

Antoni zapłakał, jak dziecko.

— Macie słuszność, pani cesarzowo, szepnął. My troje musimy umrzeć razem. Ten, kto dwoje z nas przeżyje, zamknie nam chociaż oczy!

Ravanel stał przy kominie, zamyślony i ponury.

— Kto mówi o śmierci, zawołał nagle. Tak daleko jeszcze nie jesteśmy, trzeba nam wszystkiego spróbować zanim się zupełnie poddamy. Czemu siedzieć ciągle w tej

chacie? Tu umrzemy napewno, bo nikt i nic nas ocalić nie może, jeżeli odważymy się zejść na dół, to może być, że zginiemy, ale może też być, że staniemy szczęśliwie w Chamouni. Zawieja ustała, wiatr jest jeszcze, jeżeli więc weźmiemy się ostrożnie do dzieła, to może ocalimy się sami!

Elżbieta zgodziła się na wszystko.

Ravanel wyszukał linę i związał nią siebie, Antoniego i cesarzową. Żywności nie mogli zabrać z sobą — cesarzowa włożyła ostatnią kromkę chleba do kieszeni, wiedząc, że ta odrobina musi im starczyć na trzydzieści sześć godzin przynajmniej.

Ale to nie zmniejszało jej odwagi, nie odbierało ufności w Boga.

Wiedziała ona także, że w chacie czeka ich śmierć niechybna — może więc potrafią w inny sposób ocalić życie!

Przed wyjściem z chaty uklękli wszyscy i modlili się długo i gorąco.

Śnieg teraz nie padał już wcale, ale gdy wyszli za próg, szarpnął wicher nimi tak silnie, że wszyscy zachwiali się i o mało nie uderzyli o ścianę chaty. Walka z wichrem była ciężką i niebezpieczną, w końcu jednak udało im się wejść na drogę, więcej zaciszną i spokojniejszą.

Całej drogi, którą odbywali, opisywać nie podobno. Przechodzili przez liczne przepaście, przez mury lodowe, staczali się nieraz z pochyłości, i byli w nieustannem niebezpieczeństwie życia. Ale Ravanel i Antoni przysięgli sobie, że będą walczyć do upadłego, nie o własne życie, tylko o życie cesarzowej.

Najgorszym ich wrogiem było zimno! Elżbieta czuła z przerażeniem, że krew zaczyna stygnąć w jej żyłach, w oczach miała dziwne kłucie, a ręce i nogi nabrały ogromnej ciężkości.

I po trzech godzinach straszliwego wytężenia wszystkich sił, oświadczyła, że już dalej iść nie może.

Ravanel i Antoni byli też już do połowy skostniali.

— Nie, — rzekła Elżbieta, — dalej iść nie możemy. Wróćmy lepiej do chaty. Tyle sił jeszcze nam starczy — spieszmy się! Tam umrzemy spokojnie, przynajmniej pod dachem, a nie nade drogą!

Ravanel i Antoni milczeli, ale wypełnili natychmiast rozkaz cesarzowej, i wrócili się z powrotem do chaty.

Na sam wieczór prawie na wpół żywi, stanęli nareszcie u celu, aby nigdy już ztąd nie wyjść. Wrócili po śmierć wspólną — spokojną, ale pewną!

Ale nagle stało się coś nieprzewidzianego i okropnego. W chwili, w której, wlokąc się z trudnością, dochodzili do chaty, buchnęła z dachu chmura czarnego dymu i w następnej sekundzie stanęła cała chata w płomieniach!

Był to widok przerażający, ale wspaniały. Zdawało się, że śnieg się pali.

Cesarzowa zaczęła głośno płakać.

— Sam Bóg, — zawołała, — odbiera nam ostatni ratunek! Czemże zasłużyliśmy na tak okrutny los!

— Nie wiem, — rzekł Ravanel, — jakim sposobem ogień mógł powstać! Przypominam sobie zupełnie dokładnie, że na kominie ani jednej nie było iskierki!

— W takim razie ktoś chatę podpalił! — krzyknął Antoni. — Jakiś zły duch musi tu gospodarować! Najpierw zabrał żywność a teraz ogień podkłada!

— Cicho, Antoni! — rzekła cesarzowa. — Wiesz przecież, że duchów nie ma na świecie.

Ale zaledwie słowa te wymówiła, dał się tuż za nią słyszeć dziki, nieludzki prawie śmiech.

Cesarzowa przerażona, obróciła się.

— Obłąkana! — zawołała. — Obłąkana z góry Montblanc!

Postać kobiety, okrytej łachmanami, zwolna zbliżyła się do niej. Czarne, rozpuszczone włosy okrywały ją, jak płaszczem aksamitnym, a blada, piękna twarz miała wyraz tak bezgranicznej rozpaczy, że nawet mężczyźni cofnęli się mimowoli.

Obłąkana podniosła teraz zaciśniętą pięść do góry, a wielkie jej, czarne oczy, błysnęły groźnie.

Antoni stanął przed cesarzową.

— Daj pokój, — rzekła Elżbieta, — nieszczęśliwa ta kobieta nie zrobi mi nic złego. Ona jest obłąkaną!

— Tem niebezpieczniej!

Kobieta zbliżyła się do cesarzowej i spojrzała jej uważnie w twarz.

— Oddaj mi moje dziecko, — krzyknęła nagle. — Wzięłaś mi mego syna! Gdzie jest Luigi? Miłosierdzia! Pomóżcie mi szukać mego dziezka!

Cesarzowa zadrżała.

Nie po raz pierwszy w życiu słyszała te słowa, nie po raz pierwszy widziała tę twarz bladą, zrozpaczoną!

Była to ta sama kobieta, którą wówczas znalazła nieprzytomną na skale, i która rzuciła straszliwe przekleństwo na nią, w przystępie obłąkania.

Imie i nazwisko tej kobiety zapisała sobie nawet w swym dzienniku, a imię to brzmiało: Luigia Luccheni!

Cesarzowa chciała w pierwszej chwili uciekać, ale zaraz potem przyszło jej na myśl, że nieszczęśliwa może potrzebować jej pomocy, i będąc sama w najokropniejszem położeniu, postanowiła zająć się obłąkaną!

— Przeszukałam wszystkie góry, — mówiła Luigia trochę spokojniej, — przeszłam wszystkie przepaści, ale dziecka mego nigdzie znaleść nie mogłam! Ach, pomóżcie mi go szukać, — zawołała z płaczem, — ja tak tęsknię za niem! Nie widzieliście Malatesty? On wie, gdzie jest mój Luigi! Pani jesteś też matką, nieprawda? Masz przecież dzieci? Pomyśl o nich — pomóż mi szukać mego synka jedynego!

Cesarzowa, głęboko wzruszona, odwróciła głowę.

Nie mogła pomódz tej nieszczęśliwej, i nawet pocieszyć jej nie mogła, bo czyż obłąkana byłaby ją zrozumiała? W każdym razie trzeba ją tu było zatrzymać, więc powiedziała Antoniemu, aby jej nie wypędzał i nie pozwolił się oddalać.

Tyrolczyk otworzył butelkę, w której było jeszcze kilka kropli wódki i podał ją obłąkanej, ale Luigia cofnęła się żywo i znowu przeraźliwie krzyczeć zaczęła:

— Chcesz mnie otruć, hrabio de Laroche! Ja nie mogę już występować dalej w cyrku! Słyszysz? Nie mogę! Przyrzekłeś mi, że objedziesz ze mną cały świat, aby szukać dziecka, a nie dotrzymałeś przysięgi! Łotr! Nędznik!

— Biedna kobieta! — szepnęła kobieta.

— Ale my musimy teraz o nas pomyśleć, pani cesarzowo, — rzekł Ravanel. — Ja nie tracę jeszcze nadziei ocalenia nas!

— Jesteście odważni, ale to wszystko napróżno!

— Nie! Uważam, że od godziny znacznie się ociepliło, wiatr ustaje i jestem przekonany, że w przeciągu trzydziestu sześciu godzin nadejdzie pomoc z Chamouny.

— Więc chodzi o to, czy przetrzymamy te trzydzieści sześć godzin, czy nie!

Może nawet nie tak długo!

— Ale w jaki sposób? Noc za pasem, a chociaż może się trochę ociepliło, to zawsze jeszcze dosyć zimno, abyśmy tu wszyscy zmarzli!

— Gdybyśmy siedzieli w chacie, — zawołał Antoni, — to zimno mniej by nam dokuczało.

— Chatę podpaliła obłąkana, musimy więc sami wybudować sobie dom.

— Z czego? — zapytała Elżbieta z smutnym uśmiechem.

— Z śniegu! Tak, jak Eskimosi budują, i zobaczysz, pani cesarzowo, że to wcale źle nie będzie! Śnieg jest cieplejszy niż kamień lub drzewo — w każdym razie spróbować trzeba. Zabierzemy się z Antonim zaraz do roboty i w dwóch godzinach powinien pałac być ukończony.

Z siłą rozpaczy zaczęli zgarniać śnieg i utworzywszy ogromną górę, wykopywali śnieg z środka, tworząc tym sposobem wejście. Kilka niedopalonych kawałów drzewa służyło im za narzędzie. Ściany śniegowe dosyć rzeczywiście były grube, aby nie przepuszczać zimna, i podzieliwszy „pałac“ na dwie części, przeznaczyli jednę z nich dla cesarzowej. Gdy się potem wszyscy pod dach schronili, podzielili się rzetelnie ostatnim kawałkiem chleba i ostatniemi kroplami wódki.

Obłąkana wsunęła się także za nimi i usiadła tuż przy wejściu, nieporuszona, jak nieżywa. Raz poraz tylko podnosiła głowę i szeptała niewyraźnie:

— Oddajcie mi moje dziecko!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NEKROLOGIA.



S. p. Józef Stark.

Żałobnem echem odbiła się w mieście naszem smutna wiadomość o nagłej śmierci ś. p. Józefa Starka, znanego i poważanego obywatela poznańskiego. Umarł u wód, gdzie bawił dla polepszenia zdrowia.

Zmarły był zabiegliwym, pilnym i sumiennym przemysłowcem, to też w polskiem kupiectwie naszego grodu wybitne zajmował miejsce i chętnie służył rozumną radą każdemu młodszemu kupcowi. Był gorącym patryotą, przyjacielem i czytelnikiem „Pracy."

Z ś. p. Józefem Starkiem schodzi do grobu jeden z najbardziej kochanych i szanowanych współobywateli naszych, pozostawiając po sobie obok pięknych widocznych śladów skrzętnej pracy, czyste imię szczerego patryoty-Polaka.

Składając na trumnie nieboszczyka wieniec, wołamy: „Cześć Jego pamięci! Niech Mu będzie lekką ziemia ojczysta, dla której wszystkiemi tętnami biło Jego gorące serce polskie!"

Pogrążonej w ciężkim smutku żonie i rodzinie zasyłamy wyrazy najserdeczniejszego współczucia.

Redakcya „Pracy."

* * *

S. p. ksiądz Ludwik Wendland,

proboszcz żerkowski, umarł dnia 20-go z. m. po długich i ciężkich cierpieniach w 55-ym roku życia w zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu.

Zmarły należał do licznych ofiar walki kulturnej; więziony dwukrotnie w Śremie, dostał w roku 1874-ym rozkaz banicyjny. Za granicą przebywał przez lat 7, a po powrocie z banicyi zawiadywał parafią staro-gostyńską, potem był w Tucznie na Kujawach, następnie został proboszczem w Podgórzu pod Toruniem. W Żerkowie był proboszczem od roku 1894-go; zajmował się gorliwie sprawami parafii i przeprowadził gruntowną restauracyą kościoła w Żerkowie. Zmarły był gorliwym kapłanem i gorącym patryotą. R. i. p.

Kier-nos.

Sprzedano znowu rodzinne zagony, —
Kawał Ojczyzny znów przefrymarczony,
I świętokradczym bezwstydem Judasza
Oplwana znowu jest ta Matka nasza!...
W tej strasznej chwili naszego pogromu
Serce się krwawi wśród obelg i sromu,
Jakie wyrodny syn Matce zadaje, —
Jej krwią się tuczy, i upiorem wstaje!...
Upiorem hańby z przekleństwem na czole
„Trzech liter" faktor — w renegatów kole!..
Opinia milczy, do czasu cierpliwa, —
Zniewagę znosi Matka nieszczęśliwa, —
Boć w całym świecie, jak i w naszym progu
Podłych jest dużo na ziemskim barłogu!
A że ich ludzkość wyplenić nie może,
Pod pręgierz stawia je na sądy Boże!...

* * *

Gdzież ma się zrodzić uczciwość i cnota,
W cuchnącym chlewie sprosnego żywota,
Jakim od dawna ten przekupnik stary,
Za żerem goniąc — zbierając talary,
Ze czci wyzuty, — już opinii głosem
Powszechnie zwany jest u nas: *„Kier-nosem."...*
Więc gdy w kałuży po uszy się kryje,
Niechaj ta świnia polską ziemię ryje,
Niechaj się tuczy tam w swoim kantorze!
Nikt jej już tego zabronić nie może, —
Wzgardą li tylko kraju oplwany
Kier-nos niech będzie *napiętnowany!..*

27 lipca 1902. *Vox populi.*

Wiadomości.

— Z powodu śmierci Ks. Kardynała Ledóchowskiego wydał Najprzewielebniejszy Ks. Arcybiskup w rezydencyi swej latowej Krobskiej dnia 23 z. m. „Okólnik do Duchowieństwa i Wiernych obu Archidyecezyi".

„Aby dług wdzięczności — czytamy w „Okólniku" — wedle sił naszych starać się spłacić zmarłemu śp. Kardynałowi, polecam jego duszę pobożnej przed Bogiem pamieci wszystkich ukochanych owieczek Moich i rozporządzam tymczasowo, co następuje:

1) Okólnik Mój zostanie przeczytanym w miejsce kazania w najbliższą niedzielę,*) po odebraniu.
2) We wszystkich kościołach będzie się przez trzy dni dzwonić w południe przez pół godziny.
3) Wszystkich kapłanów proszę o odprawienie mszy św. żałobnej w pierwszy dzień semidu-

*) Przeczytano go dnia 27-go z. m. (Przyp. Red.)

plex i poprzednie powiadomienie o tem parafian.

Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański
† Floryan."

— **W sprawie** „Miliona groszy" na „Szkołę ludową" odebraliśmy od Koła miejskiego pierwszego męskiego Towarzystwa „Szkoły ludowej" w Krakowie z prośbą o zamieszczenie następującą odezwę:

„Milion groszy na „Szkołę ludową!"

„Grosz na szkołę ludową!" Takie sympatyczne hasło można słyszeć codziennie we wszystkich prawie lokalach publicznych Krakowa*) od półtrzecia roku, a już dziś możemy podać rodakom wesołą nowinę, że jeden zacny weteran z r. 1863, pracując z zapałem, groszowymi datkami zebrał do jednej puszki w ciągu 30 miesięcy **milion groszy** czyli 10 000 koron na zbożny cel oświaty ludowej. Jeden człowiek zebrał w krótkim czasie milion groszy w jednej miejscowości. Gdyby to hasło, rzucone, niedawno na posiedzeniu Zarządu koła męskiego Tow. „Szkoły ludowej" przez p. L. H. Małeckiego, znalazło powszechny oddźwięk w całej Polsce, gdyby się było znalazło 100 takich niestrudzonych pracowników i działających w tych warunkach, co dzielny weteran, z groszowych datków mielibyśmy już milion koron dla wznoszenia coraz to nowych warowni przeciwko nawale wrogów.

Dziś bowiem najpotężniejszym i najskuteczniejszym środkiem do walki z przemocą moskiewsko-niemiecką jest milionowy uświadomiony lud polski. O zdrowe, szerokie, gorącą miłością Ojczyzny przejęte piersi ludu polskiego odbiją się choćby miliardowe pociski wrogów.

Jakby na potwierdzenie słów moich, w tej chwili kiedy to piszę, odebrałem list od robotnika polskiego aż z pod Hamburga z prośbą o książki, gdzie między innemi tak pisze: „...**Niemcy nas chcą zgnębić, ale my się nie damy**, bo my polski lud czujemy narodowo, tylko trzeba nam się kształcić przez czytanie narodowych pism"...

Ta wiara ludu we własne siły niech i nas napełni otuchą w lepszą przyszłość i zapali do dalszej powszechnej, nieustającej ofiarności na cele Towarzystwa „Szkoły ludowej."

Na setki milionów marek lub rubli, jakie zaciekli wrogowie nasi przeznaczają na wydarcie nam ziemi, wiary i mowy ojczystej — i to z krwawicy i nam wydzieranej — odpowiedzmy przynajmniej milionami groszy ofiary dobrowolnej, a te grosze z użyte na oświatę i uświadomienie milionowych mas ludu polskiego z taką lichwą nam się opłacą, że — da Bóg — zrównoważą zachłanność wrogów.

Bierzmy przykład z pobratymczych Czech. Tam za pośrednictwem puszek zbierają setki tysięcy, ale nie groszy, lecz koron, więc i my się tu postarajmy, aby w każdem znaczniejszem mieście, w każdem miejscu kąpielowem, a nawet w miejscach odpustowych w Galicyi mogły krążyć puszki Towarzystwa „Szkoły ludowej," w czem zapewne władze nie będą stawiały przeszkód.

Przed pięciu wiekami bohaterscy praojcowie nasi zasypali grotami krzyżackiego gada pod Grunwaldem, dziś wśród innych warunków walki rzucajmy i my miliony, ale grotów i promieni światła i miłości Ojczyzny w najdalsze zakątki ziemi naszej, a promienie te i groty odbite od serc ludu polskiego tak oślepią nowoczesnych Krzyżaków, że może w niedalekiej przyszłości — jeśli nie my — to potomkowie nasi doczekają się lepszych czasów."

*) Niestety są jeszcze pewne lokale, nie pozwalające kursorowi na zbieranie składek, mamy jednak nadzieję, że i ci, przekonawszy się o skuteczności tej pracy, zgodzą się na to.

— **Dnia** 22 z. m. odbył się w kościele św. Marcinskim, w Poznaniu ślub p. Józefa Nowaka, właściciela księgarni z Pr. Starogardu z panną Anielą Aleksandrą Krenzówną z Poznania. Aktu ślubnego dopełnił ks. prałat dr. Lewicki, proboszcz św. Marciński, w asystencyi ks. M. Tomaszewskiego, szkólnego kolegi pana młodego, oraz ks. Gierłowskiego. Do młodożeńców przemówił serdecznemi słowy od ołtarza oraz przy uczcie weselnej ks. M. Tomaszewski. Szczęść Boże młodej parze!

— **Z Grabowa nad Prosną**. Dnia 20 z. m. odbyła się u nas doroczna uroczystość odpustowa, M. B. Szkaplerznej. Ludu wiernego, nagromadziło się ze wszystkich stron, tak że natłok był taki, jakiego dawno nie pamiętają. Z sąsiedniego Mixtatu i Przedborowa przybyły kompanie, które przez miejscowego ks proboszcza w krótkich, ale pięknych słowach przyjęte i przy śpiewie i odgłosie muzyki wprowadzone zostały. Sumę odprawił miejscowy, a bardzo gorliwy ks. proboszcz Jurek, po której odśpiewano piękną mszą instrumentalną pod dyrekcyą p. W. Schmidta, organisty tutejszego.

Pogoda sprzyjała, dlatego uroczystość tem większy nastrój miała. Jedynie nie dopisały panienki Grabowskie, ponieważ mało wieńców i koron było.

— Niema czasu — tak zwykły odpowiadać, ale gdy przyjdzie zabawa jaka, to się czas znajdzie, choć by zabawa cały tydzień trwała. Jedyne dwa wieńce były, do których się przyczyniły panie: R. Kantecka, W. Cichocka i M. S. Lange. Dziękujemy im za to.

Oby na przyszły rok i tym drugim podziękować można.

Jeden z uczestników.

— **Zwracamy** baczną uwagę Czytelnikom na inserat stale zamieszczony p. Teofila Preissa, nauczyciela handlowego i rewizora ksiąg, dotyczący kursów handlowych.

— **Pan B. Urbanowicz** w Gostyniu polcca się do wykonywania wszelkich prac ślusarskich i mechanicznych. Bliższe szczegóły podane są w odnośnem ogłoszeniu.

— **Na odbudowanie** wieży Jasnogórskiej otrzymaliśmy od p. Nowakowskiego z Dzierzchnicy 5 mk.

— **Na restauracyą** kaplicy różańcowej w kościele podominikańskim w Poznaniu otrzymaliśmy od p. Nowakowskiego z Dzierzchnicy 3 mk.

— **Mały Bazar** — skład papieru, materyałów piśmiennych, galanteryjnych, skórzanych i zabawek przy placu Piotra w Poznaniu — przeszedł z dniem 1-go bm. na własność p. Walentego Jarosza, młodego, dzielnego i rutynowanego w tej branży kupca. Nowy właściciel powiększył znacznie handel, zaopatrzywszy go we wszelkie najświeższe i najmodniejsze artykuły, sprowadzone z pierwszorzędnych fabryk. „Mały Bazar" podejmuje się także wykonywania wszelkich prac wchodzących w zakres litografii, drukarstwa oraz introligatorstwa. Polecając względom Szanownych Czytelników przedsiębiorstwo rodaka, zasyłamy mu staropolskie: „Szczęść Boże!"

Wiadomości literackie i artystyczne.

— **„Podróż poślubna, utwór poetycki".** Pod tym tytułem wyszła nakładem autora, Kazimierza Lubeckiego, w Krakowie w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego książka, której treść stanowią krótkie opisy najbardziej uroczych miejsc na świecie. Skład główny w księgarni Gebethnera i S-ki.

— **Rozstrzygnięcie konkursu nowelistycznego „Illustracyi Polskiej"** Plebiscyt, urządzony przez naszą redakcyę w sprawie konkursu nowelistycznego, dał następujący wynik: do dnia 22go b. m., w którym zamknęliśmy obliczenie, nadeszło 558 kart z odpowiedzią (to znaczy, że około 10 proc. abonentów wzięło udział w plebiscycie).

312 głosów oświadczyło się za udzieleniem nagrody pierwszej autorowi noweli „Matka" (godło: Naród), (146 głosów za nagrodą drugą); 304 głosów oświadczyło się za udzieleniem nagrody drugiej autorowi noweli „Panna Emilia" (godło: Litawor), (192 za nagrodą pierwszą). Za przyznaniem nagrody pierwszej noweli „Słabe serca" głosowało 74 osób, za przyznaniem jej nagrody drugiej osób 121.

Zaczem nagroda pierwsza w kwocie 200 koron przypada autorowi „Matki", nagroda druga w kwocie 80 koron autorowi „Panny Emilii." Po otwarciu kopert okazało się, że autorem „Matki" jest **Antoni Kopczyński**, Warszawa, poste restante.

Autorem „Panny Emilii" **Marya Zielewiczówna**, Poznań, św. Marcin 27.

Autorem noweli „Słabe serca" Zygmunt Bartkiewicz, Warszawa, Nowogrodzka 27.

Honoraryum zostało szan. autorom niezwłocznie wysłane.

Redakcya „Ilustracyi Polskiej.

Ruch w Towarzystwach.

— **Strzelno.** Zlot I. północnego okręgu sokolstwa polskiego, odbędzie się w Strzelnie dnia 3 go Sierpnia r. b. Program: I. O godzinie 8-mej rano odbędzie się Msza św. na pomyślność zlotu. II. Przyjęcie druhów pozamiejscowych w lokalu druha W. Noskowskiego. III. O godz. 12 w południe próba ćwiczeń, gdyż po 2 godzinie nam ćwiczyć nie wolno. IV. O godz. $2^1/_2$ wspólny obiad u druha Noskowskiego. V. O godzinie 4 koncert. VI. W czasie koncertu gry towarzyskie jako to strzelanie do tarczy, bieganie, tłuczenie garnków itd. VII. O godzinie 6 zaczynają się popisy gimnastyczne: a. Ćwiczenia wolne z laskami, b. Ćwiczenia na sprzętach (prężnik, poręcze, skocznia, koń), c. Reje kolarzy, d. Wyścigi do mety, e. Ćwiczenia poszczególnych gniazd, f. Ustawienie piramid, g. Rozdanie nagród. O godzinie 10 na sali pana Łowieckiego Wieczornica, o 11 tańce.

Prosimy usilnie druhów z tego okręgu o jaknajliczniejsze stawienie się, aby zlot świetnie się udał i publiczność odniosła najkorzystniejsze wrażenie. Bliższe szczegóły w afiszach. Czołem.

Zarząd

W. Wojciechowski, prezes. Edm. Boesche, sekretarz.

— **Ostrzeszów.** Program zlotu okręgu południowego odbyć się mający w niedzielę dnia 3-go sierpnia br. w Ostrzeszowie. 1. O godz. 8-mej, nabożeństwo w kościele farnym na intencyą zlotu. 2. O godz. 9, próba oddziałów żeńskich. 3. O godz. 11,

próba ćwiczeń dla drubów na boisku. 4. O godz. 1, próba dla druhów kolarzy w rejach. 5. O godz. 3, wolna jazda dla kołowników o medale. 6. O godz. 4, koncert w ogrodzie p. Kahlerta. 7. Popisy gimnastyczne: a. Ćwiczenia laskami wspólne. b. Ćwiczenia na przyrządach obowiązkowe. c. Ćwiczenia oddziałów żeńskich maczugami. d. Reje kolarzy. e. Popisy poszczególnych gniazd na przyrządach, budowanie piramid i t. d. f. Piramidy piątkowe podług muzyki. 8. Wręczenie nagród. 9. O godz. 9, pożegnanie gości i zabawa z tańcami na sali p. Kahlerta. Czołem Zarząd.

Od Redakcyi.

Panu Czesławowi I. w Ostrzeszowie. Prześlemy za nadesłaniem kwitu abonamentowego i 10 fen. na porto.

Panu Kalinowskiemu w D. — To samo.

Panu Dywickiemu w Św. — Życzone numera zupełnie wyczerpane.

Panu Szydłowskiemu w St. — Prosimy o kwit abonamentowy i 25 halerzy na porto, a prześlemy.

Panu Pachulskiemu w B. Galicya. — Szykany te nie są wyjątkowemi, lecz zniechęcać nas nie powinny. Jedynie nieugiętością i wytrwałością możemy je zwyciężyć.

Panu F. T. w Charlottenburgu. — Życzone numera zupełnie wyczerpane.

Panu Aleksandrowi Nieznanemu w Bernburgu. — W zeszłym roku mieliśmy, jak wiadomo, liczne rewizye, konfiskaty itd., skutkiem czego wiele rękopisów i listów zaginęło. Ten los spotkał z pewnością i Pana listy. Za korespondencyą dziękujemy serdecznie, ale jej umieścić nie możemy dlatego, że byśmy powędrowali do „kozy." Zresztą o „owym wędrującym apostole" hakatystów tyleśmy już pisali, że powtarzać się i nudzić Czytelników nie chcemy. Na to „szkoda czasu i atłasu." Zasyłamy miłe pozdrowienie.

Zarządowi Towarzystwa ogrodniczego Śremskiego. — Notatka doszła nas za późno już po wydrukowaniu numeru 29-go na dzień 27-go lipca i dlatego zamieścić jej nie mogliśmy. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze nadesłanie notatki.

Panu Bernardowi M. w Chełmży. — Odpowiadamy listownie.

Panu M. w Buczu. — Sprawami takiemi redakcya się nie zajmuje. Przyślij Pan inserat odpowiednio zredagowany, a zamieścimy bezpłatnie.

Panu L. Józefiakowi w Rzegocinie. — Za łaskawe bezinteresowne nadesłanie dwóch kwartalników „Pracy" najserdeczniej dziękujemy.

Panu A. Glazowskiemu w Rozbarku. Dziękujemy; podaj Pan cenę.

Panu Stanisławowi Stachowiakowi w Nekli. — Już odebraliśmy zkądinąd, więc z oferty Jego korzystać nie możemy.

Panu I. Niklewskiemu w Bartożnie Prusy Zach. — Przeczytaj Pan odpowiedź powyższą.

Panu Emanuelowi Strz. w Karbie. — Dziękujemy bardzo, materyał zużyjemy.

Panu Fr. Jakubowskiemu w H. — Wycinek odebraliśmy i dziękujemy serdecznie. Powieści wysłaliśmy.

Sokołowi w Krotoszynie. — Notatka powędrowała do biura tłomaczeń i doszła nas dopiero po ukończeniu druku.

Lenko. — Wobec obszernych opisów ze strony Redakcyi, nie umieścimy nadesłanego nam łaskawie wspomnienia.

Pani W. Niemczynowskiej w K. — Dalszy ciąg włącznie do 1 lipca prześlemy, drugiemu żądaniu zadość uczynić nie możemy. Powieść wyjdzie po ukończeniu druku i wydaniu książkowem.

Humorystyka.

PAN KINDESUBE
dżedżyc Byczenogi pod Warszawą.

Monolog.

(Wysoki, otyły, puculowaty. Nos garbaty, wąsy przystrzyżone, włosy kędzierzawe. Ubrany w buty z cholewami i ostrogami, kolorową, jedwabną koszulę, na której wisi krótka, zakopańska kurtka skórzana. Kapelusz ze skrzydłami pilśniowy, otoczony pomarańczowej barwy wstążką. Na palcach rąk — kilka sygnetów, w ręku pejcz z ozdobną rękojeścią. Mówi powoli, cedząc przez zęby i starając się wymawiać prawidłowo. Po wejściu na estradę ociera pot z czoła jedwabną chustką).

Uf!... ny, już skończałem żniwo..
(*Siada na krześle i rozpiera się wygodnie*)
Ciężka praca, wielka praca —
Ale za to też przynajmniej
Jako tako sze opłaca.
My „dżedżyce" to my mamy
Różne kłopot bardzo wiele,
Trzeba przykład dać, jak robią
Właśnie *my — obiwatele!*...
Większy kłopot niżli inni
Właśnie ja mam, przyznam z wstydem—
(*tajemniczo, ciszej*)
Bo — ja, powiem państwu w sekret
Co ja... jestem jeszcze żydem!
Państwo pewno nie poznali?
Nu, nie dżywo!... Ani słowa!...
Ani manier mnie nie zdradza,
Ani dowczyp, ani mowa...
Jestem człowiek wikształcony,
Pan z noblessy w dobrym tonie,
Żydowszczyzny nikt nie pozna
Ani po mnie, ni po żonie...
Moja żona — bankierówna!
Szkoda co jej tułaj niema,
Ona bardzo wielkie dame;
Na twarz takie... ma... emblema,
Co jej każdy zara powie,
Co to jest bankierska córa,
Co to jest publiczne dame,
Co to istna... Pompadura!...
Po francuzku ona gada
Tak, jak,.. krowe na kompasze,
Na Kubusza — to „Żak" woła,
A znów „Ketty" — to na Kasze...
Una bardzo salonowa,
Nawet trochę... zalotnice...
Ny, zwiedżyła kawał szwiata,
Buła... w Kraków, w Skierniewice..
(*po chwili*) My kupili Byczonogę,
Przijechali na gotowe,
Bo zachczała moja Ruch... Róża
Bycz koniecznie dżedżycowe...
Mnie stać na to!... Co to szkodży
Co nie zrobicz dla kobiety?...
Szersze la fam!...
(*śmieje się*)
Po przijeżdzie
To składali mi „wizyty"...
(*smutnie, z goryczą*)
Ny... dy szwarc jur, zejne kike!...
Jeszcze dotąd cosz mnie złoszczy!...
(*z oburzen.*) Te somszady, to nie znają
Staroszwieckie goszczynności!...
Jeden z Wólke — to sze zamknął
I naszemu mówił „gromu" —
Co „t powiedz swemu państwu,
Że mnie wcale niema w domu!..."
(*z gniewem*) Czekaj!... dumny szlachczyc
[z Wólkie,
Za przyjęcia te słodycze,
To ja tobie... nigdy za to
Ani rubel... nie pożyczę!!!...
Drugi dżedżyc z Koniokrętów,
To nas gorzej przyjął jeszcze...
Mi czekali dwie godżyny
Na podwórko podczas deszcze;
Dwie godżyny!... A po czas ten
To parobek szedł jak, bania,
I zakrżyczał: — Poszły żydy!
Tu nic niema do sprzedania!.."
Ale dżedżyc z Koniokrętów,
To nie wiedżał o tem wcale,
Bo un we wszy — wtedy nie buł...
(*ze złością*) Bo by szedżał w krymirale
Ten parobas... całe życie!!...
(*po chwili*) Tak nam jakosz się nie wiodło
Od wyzyty na wyzycie...
Tu nie buło pana w domu,
Tutaj pani ma ból głowy —
Tutaj znowu czocze chore,
Tu znów dżadżo buł niezdrowy!...
(*po chwili*) My zjechali okołyce
W własny powóz „na daktyli",
To my byli prawie wszędże,
Ale... nigdże my nie byli!..
To ja zdjąłem frak, a Ruch... Róże
Z bizuterjem zdjęła całem —
I... zemdlała... ze znużenie,
Aż jej „odekołon" dałem...
I jęczała: „Mon Dje! Aj waj!...
„Serca wszistkich są jak skała,
„Po co ja z ten żyd paskudny
„Dawniej sobie ożeniała!..
„Aj waj!.. moje dobre sławe
„Teraz wszistko to okupiął!..."
A ja w złoszczy znów krzyknąłem:
— Halte pisk!!... ty... Ruchle głupia!...
Ty na sobie włóż brylantów
I szedź w salon, bo gromadą,
Po wizytach naszych w dworach,
Różne szlachte tu przyjadą...
(*po chwili smutnie*)
Moje Ruch... Róże sze ubrała,
I szedżała... po obiedzie,
Przed obiadem... po kolacje...
Nu... i teraz jeszcze szedzi...
Una szedzi... una czeka...
Una szedzi w salon naszem,
Jak... ten... wielki jeometra,
Ten Kopernyk przed Karaszem!...
Una czeka... a tu jakosz
Ani z bryczke, ni z koleje
Nikt nie jedże...
(*z wyrzutem*) To mi Ruchle
Jak Kopernyk zardzewieje!...
(*uderzając się w głowę*)
A git!... pomysł!... wiem co zrobię!...
Do Warszawy ja pojade
I wynajme takie „pany",
Co przijadą tu w gromade!
Niechaj moja droga Ruch.. że,
Darmo w salon ten nie szedży.
(*do bocznych drzwi*)
Ty sze nie bój, libe frau,
Już przijadą tu „somszedzi!"

— Tyle razy ci już mówiłam, Hanusiu, że półmisek podaje się z lewej strony, a ty zawsze po swojemu.

— Ee! proszę pani, ktoby tam na takie zabobony zważał!

Prosimy odciąć!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate August u. September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,84 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........., den..........

Kaiserl. Post..........

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

..........,den..........

Kaiserl. Post..........

Kto ma szczery zamiar

kamienicę

korzystnie kupić lub sprzedać, ten niech się z całem zaufaniem zgłosi do

Drwęskiego & Langnera,

Domu Bankowo-Komisowego

Ul. Rycerska 38. **w Poznaniu** *Telefon 1246.*

Specyalny wydział

dla kupna i sprzedaży kamienic, wil, placów budowlanych i t. d.
Pośrednictwo sumienne i dyskretne.

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu choroby właściciela jest korzystnie do nabycia w jednem z większych fabrycznem mieście (ca. 5000 mieszkańców) tu w Księstwie posiadłość w bardzo korzystnem położeniu, składająca się z pięknej, nowej, dwupiętrowej kamienicy, obszernego podwórza z zajazdem, stajniami etc., ślicznego, dużego ogrodu dla publiczności. W kamienicy jest pierwszorzędny hotel, restauracya, winiarnia, handel korzenny, destylacya — przytem jeszcze skład węgli, wapna, artykułów budowlanych i t. d.

Cena za posiadłość 85,000 mk., towary oblicza się podług faktury, do **objęcia potrzeba** 50 tys. marek.

Oferty pod lit. G. 200 do eksped. „Pracy," Poznań, ul. Rycerska 38.

Folwarczek w okolicy Gniezna tylko 1 klm. od stacyi kolejowej, ca. 136 mórg incl. 15 mórg dobrej łąki z pokładem torfu, troszeczkę ładnego lasu, ziemia dobra jęczmienna w kulturze, bardzo dobrze obsiana, budynki wystarczające i w porządku, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 12,000 m.* za 31,500 mk.
Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. **2354**.

Folwark 720 mórg w okolicy Znina, od miasta tylko ½ mili, zdrowa żytnia ziemia i bardzo urodzajna, 20 mórg pięknych łąk, 270 mórg jeziora bardzo rybnego, budynki nowe, dom mieszkalny murowany o 6 pokojach, kuchni itd., inwentarz kompletny przy zaliczce 45,000 mk. pod bardzo korzystnemi warunkam
Oferty upr. do eksp. „Pracy" Nr. 2238.

Folwark 200 mórg tuż pod Poznaniem, ziemia dobra, zdrowa żytnia, w wysokiej kulture; budynki murowane, w dobrym stanie, dom meszkalny obszerny i wygodny, inwentarz 8 koni i 30 krw, mleko odstawia się do sklepów do Poznania, *przyzaliczce 25,000 mk.* za 76,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" *Nr. 2252.*

Folwark 370 mg. incl. 16 mg. dobrych łąk i 30 mórg pięknego lasu, *pod Grodziskiem,* od szosy tylko 1 klm., *ziemia jęczmienna w kulturze,* budynki kompletne i w porządku, *dwór na suterenach murowany obszerny i wygodny w pięknym ogrodzie;* inwentarz kompletny, *przy zaliczce 20 tys. mk. za 83 tys. mk.*
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2180.

Folwark

800 mg., incl. 60 mg. pysznych łąk, w okolicy Wrześni, stacya koleji i szosa w miejscu; ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczanna w bajecznej kulturze. Wysiew 280 mg. oziminy, 100 mg. jęczmienia, *40 mg. buraków cukrowych,* 20 mórg lucerny, 200 mórg kartofli i t. d., budynki przeważnie murowane, obszerne i w porządku, *wygodny dom mieszkalny o 9-ciu pokojach, kuchni etc. w ślicznym ogrodzie,* inwentarz 8 koni robocz. 31 wołów rob. ca. 80 szt. bydła incl. krów dojnych, 300 owiec, parowa młockarnia itd., *wszystko w najlepszym porządku.* Taksa landszaftowa z roku 1888 176,400, *przy zaliczce 60 tys. mk.* za 330 mk. morga. *Majątek ten jest od 50 lat w obecnych rękach niemieckich i jedynie dla śmierci właściciela na sprzedaż.*

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wieś
rycerska

840 mórg, incl. 60 mg. dobrych łąk i 15 mórg pięknego lasku, *w okolicy Rogożna, od przystanku koleji tylko 2 klm., ziemia dobra jęczmienna bardzo dobrze obsiana w wysokiej kulturze,* — budynki nadkompletne, murowane pod twardemi dachami w porządku; *wygodny i obszerny dwór pański na suterenach w wielkim, cienistym parku.* Całość robi wrażenie pańskiej siedziby. Inwentarz kompletny i bardzo dobry; urodzaje znakomite; gospodarstwo dość zasobne, *przy zaliczce 60,000 mrk., za 200 marek morgę.*

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Folwark 370 mórg, niespełna godzinkę szosą od Poznania, stacya kolejki osobowej w miejscu, ziemia od skiby do skiby pszenna, wydrenowana w wysokiej kulturze, gospodarstwo zasobne, budynki obszerne murowane w wielkim porządku, dom mieszkalny o 5 pokojach, przytem wielki ogród owocowy, inwentarz mocny i liczny *przy zaliczce 30,000 mk.* za 110,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2248.*

Folwark 620 mórg pod Wągrówcem tuż przy mieście, ziemia prawie wszystka pszenna, piękne łąki, wielkie bardzo rybne jezioro, budynki obszerne, w dobrym stanie, dwór pański wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 50,000 m.* za 145,000 mk.
Jest wdzięczna gleba, majątek wartościowy i donośny. Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. **2258**.

Folwark. 400 mg tuż pod Poznaniem z zupełnie nowemi murowanemi budynkami, *ładnym nowym i obszernym domem mieszkalnym w rodzaju wili resp. pałacyku,* z licznym i mocnym inwentarzem, ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze, *tuż przy dworcu, przy zaliczce 30,000 mk.* za 135,000 marek.
Oferty do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2353.*

Folwark ca. 160 mg. w okolicy Kostrzyna ziemia przeważnie pszenna w dobrej kulturze, dom mieszkalny o 3 izbach. kuchni etc., obora murowana, welbowana na żelazie, wielka stodoła o 2 bojowiskach, wszystkie budynki w porządku, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 18,000 m.* za 45,000 mk. Kolejka w miejscu. Oferty do eksp. „Pracy" pod nr. **2344**.

Folwark 220 mg. pod Starogardem, Pr. Zach., ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczana, budynki obszerne w dobrym stanie. *Dwór w stylu pałacykowym o 12 pokojach w pięknym cienistym parku,* gospodarstwo zasobne, *przy zaliczce 50,000 marek* za 240,000 marek.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod *Nr. 2364.*

Folwark 250 mórg — lecz z własnem polowaniem — pod Krotoszynem, z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, garnizonem i t. d., *ziemia pszenna w bajecznej kulturze,* 15 mg. pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, cegielnia produkująca rocznie przeszło pół miliona; dworek zupełnie nowy, pański, bardzo ładny i obszerny, w pięknym ogrodzie, *przy zaliczce 75,000 m.* za 150,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. **2260**.

Folwark 500 mórg pod Koźminem, wszystko pszenna ziemia I kl., ładny i wygodny dworek, budynki obszerne i w porządku, inwentarz kompletny i mocny, *Grundsteuerreinertrag ca. 3 mk. z morgi,* przy zaliczce 60,000 mk. po 350 mk. za morgę.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. *2282.*

Folwark 460 mg. w okolicy Krotoszyna, ziemia pszenna I kl. wydrenowana i wymarglowana w wysokiej kulturze, budynki obszerne i w porządku, dom mieszkalny wygodny w ładnym ogrodzie, 12 koni, 50 sztuk bydła rasowego, 80 świń. Żniwa zapowiadają się świetnie. Przy zaliczce 40,000 mk. za 130,000 mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2244.

Folwark 200 mórg pod Trzemesznem, ziemia do połowy pszenna i buraczanna, reszta dobra, zdrowa, jęczmienna, 10 mórg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, dom mieszkalny o 6 pokojach, wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarz kompletne, *przy zaliczce 25,000 marek za 65,000 mk.*
Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. *2288.*

Folwarczek 240 mrg. tuż przy Rogoźnie z gimnazyum, *dobrej pszennej i buraczannej ziemi i ślicznemi łąkami, obszernemi murowanemi budynkami, wygodnym domem mieszkalnym o 6 pokojach,* inwentarz 6 koni, 30 sztuk bydła, znaczna trzoda świń i t. d. *przy zaliczce 15,000 mk* za 70,000 mk. Wysiew 25 mg. pszenicy, 50 mg. żyta, 40 mg. jęczmienia, 50 mg. kartofli i t. d.
Oferty up. do Eksp. „Pracy" **Nr. 2306**.

Folwark *330 mórg, pod Gnieznem,* ziemia zdrowa i urodzajna żytnia, 36 mg. łąk z pokładem torfu, budynki w porządku, dom mieszkalny o 6 pokojach, 4 klmtr. od dworca, inwentarz kompletny, *przy zaliczce 12,000 mk.* za 48,000 Mk.
Oferty upr. do Eksp. „Pracy" pod *2324.*

Folwark *670 mg. pod Szubinem, ziemia pszenna I kl., 100 mg. pysznych łąk, 40 mg. niewyczerpanych pokładów bardzo dobrego torfu. Obszerny dwór pański, w ładnym parku,* budynki bardzo dobre i kompletne, 15 koni i 60 szt. bydła, od miasta tylko 4 klmtr., *przy zaliczce 60,000 mk.* za 200,000 mk.
Oferty up do Eksp. „Pracy" *No 2322.*

Folwark 475 mórg z wodnym młynem, niedaleko Poznania, szosa i stacya kolei w miejscu, incl. 100 mg. dwusiecznych łąk, z znacznym pokładem torfu, 50 mórg lasu i ca. 12 mg. wody, budynki murowane w wielkim porządku, młyn wodny prowadzony na wielką skalę przynosi bardzo znaczny stały dochód. Dom mieszkalny murowany na suterenach, o 9 pokojach, kuchni i t. d., w ładnym ogrodzie, położenie bardzo romantyczne i tuż przy samym Poznaniu, z świetną komunikacyą. Inwentarz 12 koni, 30 krów i t. d., wszystko utrzymane w wielkim porządku, przy zaliczce 80 tys. m. za 180 tys. mk.
Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. 2098.

Folwark 810 mg. pod Wronkami (z młynem) z wyśmienitą komunikacyą, incl. 20 mórg pysznych łąk, 60 mórg ładnego lasu *z młynem wodnym, urządzonym także do pędzenia parą, przynoszącym rocznie 7000 mk. stałego dochodu*, budynki murowane pod dachówką i papą w dobrym stanie, *wygodny i obszerny dom mieszkalny z werandą i balkonem, w pięknym ogrodzie*, niedaleko ładna oficyna dla służby i t. d., inwentarz 7 koni, 14 krów, 15 sztuk bydła młodocianego, około 80 sztuk świń i tuczników, położenie śliczne, okolica bardzo dobra, przy zaliczce 35 tys. m. za 67 tys. mk.
Oferty do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. 2091.

Folwark 550 mórg w pobliżu Poznania, od stacyi kolei 4 klm., ziemia dobra, zdrowa jęczmienna, 10 mg. pysznych łąk, kawał ładnego lasku, budynki murowane pod papą w porządku, dwór murowany pod papą wygodny o 7 pokojach, kuchni etc. w pięknym ogrodzie; inwentarz 12 dobrych koni roboczych, 1 stadnik, 13 krów, 5 cielnych jałowic, 10 szt. młodocianego, ca. 20 szt. świń itd. Żniwa zapowiadają się świetnie, przy zaliczce 30 tys. mk. za 110 tys. mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod *Nr. 2235.*

Folwark 500 mg. w okolicy Chodzieża, incl. ca. 70 mórg łąk z niewyczerpanym pokładem torfu, ziemia dobra jęczmienna i żytnia w kulturze, budynki gospodarcze murowane pod twardemi dachami w porządku, dwór pański, murowany, na suterenach o 10 obszernych pokojach, kuchni etc. w pięknym parku z widokiem na wielkie jezioro. Wysiew: 150 mórg żyta, 20 mórg jęczmienia, 80 mórg koniczyny, 40 mórg owsa, 70 mg. kartofli itd. Żniwo rokuje obfity plon; inwentarz: 9 koni, 1 stadnik, 23 krowy, 20 sztuk bydła młodocianego itd. przy zaliczce 30 tys. mk. nader korzystnie do nabycia, ponieważ dziedzic nie jest rolnikiem i mieszka w innej prowincyi a folwark ten odebrał tylko w spadku.
Oferty do eksp. „Pracy“ pod Nr. 2104.

Wila

z pięknym ogrodem

na jednem z Poznańskich przedmieść jest zaraz przy małej zaliczce do sprzedania.

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. S. 100.

Willa

w Zakopanem wysoko leżąca, z cudnym widokiem na okolicę; 3 lata jak budowana — powodzenie dobre — 12 pokoji gościnnych, śliczny ogród itd. jest za bajecznie tanią cenę z powodu przesiedlenia właściciela do *sprzedania. Cena 35 tysięcy florenów*, które muszą być gotówką wypłacone.

Bliższych objaśnień, lecz tylko reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY
Drwęski & Langner
Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Wieś rycerska

600 mórg w okolicy Wągrówca, incl. 80 mórg pysznych łąk i ca. 8 mg. rybnych stawów, *ziemia przeważnie pszenna, reszta dobra jęczmienna*, budynki obszerne i w dobrym stanie, *dwór pański o 9-ciu pokojach etc. w ładnym parku;* inwentarz liczny i dobry. Wysiew 40 mg. pszenicy, 40 mg. jęczmienia, 240 mórg żyta, 100 mg. owsa, 80 mg. perek itd. *Urodzaje świetne. Przy zaliczce 40,000 mrk.* za 270 mrk. morgę do nabycia od nierodaka.

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wioska

w okolicy Gniezna tylko 2 klm. od szosy ca 800 mórg. incl. 40 mg łąk, z niewyczerpanym pokładem torfu, *ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze*, budynki kompletne, murowane, pod papą.

Dom mieszkalny nowy w rodzaju wili, murowany, pod łupkiem na suterenach, o 8-miu wygodnych, obszernych pokojach i t. d. inwentarze kompletne i w porządku, od miasteczka i szosy tylko 1 klmtr. *przy zaliczce 75,000 mk.* 300 mk. za morgę. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy“ pod *No. 2365.*

Korzystne kupno

Folwark

460 mórg pod Srodą, *ślicznie odbudowany i sam dla siebie, ziemia buraczanna I kl. ładny obszerny dwór w rodzaju pałacyku*, inwentarz kompletny i mocny *Grundsteuerreinertrag ca 3 mk. z morgi* od Srody niespełna pół mili, *przy zaliczce 40,000* za 148,000 mk.
Zgłoszenia przyjmuje

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
Poznań
ul. rycerska 38 telefon 1246

Folwarczek 150 mórg tuż pod Poznaniem z stacyą kolei w miejscu, ziemia pszenna od skiby do skiby w wysokiej kulturze, wygodny i obszerny dwór o kilku pokojach, znakomite budynki, mocny inwentarz, doskonałe żniwa itd. przy zaliczce 35 tys. mk. za 125 tys. mk.
Oferty do eksp. „Pracy“ pod Nr. 2223.

Gospodarstwo 170 mórg w większem, bardzo handlowem mieście, niedaleko Poznania, ze stacyą kolejową w miejscu, *ziemia obiecana, w najwyższej kulturze, budynki bardzo obszerne, murowane, w najlepszym porządku, całe podwórze ogrodzone murem, dom mieszkalny elegancka parterowa wila z wielką salą, 10 pokoji w ślicznym ogrodzie, kościół i szkoła tuż przy wili*, inwentarz kompletny i mocny, do sprzedania za 90,000 mk. przy zaliczce 30,000 mk.
Oferty upr. się do eksped „Pracy“ pod nr. **2210.**

Folwarczek 210 mórg w okolicy Szamotuł
ziemia dobra żytnia incl. 8 mg. łąk i 50 mg. boru w bardzo romantycznej, zdrowej okolicy. Dom mieszkalny nowy, murowany, pod cemt, dachówką, o 4 wysokich pokojach, kuchni, śpiżarni i t. d., obora, stajnia i świniarnia nowe murowane, welbowane na żelazie pod cemt. dachówką, stodoła z drzewa pod papą, także nowa, inwentarz 8 dobre konie rob., 7 krów, 16 świń i masę drobiu. Hipoteka uregulowana; z pełnem żniwem już przy wpłacie 10,000 mk. za 45,000 mk.
Oferty do eksped. „Pracy“ pod **nr. I. 2272.**

Gospodarstwo 147 mórg w okolicy Wronek
ziemia dobra żytnia incl. 4 mg. irygowanej łąki, 1 mg. rybnego stawu, 8 mg. kapuśników i 57 mg. boru od 18 lat w górę. Dom mieszkalny murowany o 2 izbach i kuchni, obora i stajnia murowana, stodoła z drzewa obita deskami, wszystkie budynki zupełnie nowe pod papą. Hipoteka uregulowana. Cena 21,000 mk. przy zaliczce 6000 m.
Oferty do ekspedycyi Pracy pod nr. **II. 2272.**

Willa

w Zakopanem położona w najromantyczniejszej okolicy, dwupiętrowa, o 30 pokojach, przytem oficyna, piękny ogród, werandy itd. jest z powodu podeszłego wieku właściciela do *sprzedania.*

Cena 75 tysięcy florenów, zaliczka 50 tys. florenów.

Bliższych objaśnień, lecz tylko wprost reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY
Drwęski & Langner
Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

— Panie, odwołaj pan to swoje obrzydliwe psisko.

— Obrzydliwe psisko!... proszę, a czy pan dostałeś, jak ten pies, dwa złote medale na wystawie?

Kamienica

w której się od wielu lat znajduje oberża z zajazdem i ogrodem warzywnym, także 24 mrg. ziemi pszennej, blizko miasta leżącej (razem albo pojedyńczo) mam zamiar z powodu śmierci mojej żony sprzedać. Dzierżawa z oberży przynosi rocznie mk. 1200. 549

Antoni Czabajski,

Krotoszyn.

Zakład ogrodniczy

ze składem towarów kolonialnych, obejmujący 6 mórg wzorowo utrzymywanych plantacyi truskawek, szparagów, malin, rabarbaru oraz szkółkę drzew owocowych, wszystko w najlepszych odmianach. Zabudowania nowe, jest zaraz lub później do nabycia. 556

Egzystencya pewna!

J. Witkowski, Łąkie p. Rothenburg a./Obra.

W magazynie bławatnym.

Dama (do supjekta): — Proszę, proszę! Niech pan dalej pokazuje! Ja jeszcze nie jestem zmęczona!...

Raj.

— Dla czego, mężusiu, nie chcesz wynająć mieszkania w domu Zdzierskich?... Dom ten, to istny raj!...

— A tak, tak! Niema miesiąca, żeby z niego... nie wypędzono kogoś...

— Więc wuj pański umarł w tak późnym wieku... czy też do końca życia zachował przytomność umysłu?

— O tem dotychczas nie wiem, bo nie otworzono jeszcze testamentu.

Puszki blaszane do szparagów.

Lodownie
(szafy do lodu) ulepszone go systemu. — Maszynki amerykańskie do wyrabiania lodów.

Żaluzye
drzewiane i rolosy sztabikowe do okien.

Meble
ogrodowe (krzesła, ławki stoły, fotele). — Krzesła trzcinowe, ściany drzewiane. Maszynki do koszenia trawników.

Wanny
do kąpieli nasiadowych, zwyczajne i bujane, bardzo praktyczne (Schaukelbadewannen do kąpieli potrzeba 30 litr. wody) po mk. 42 00 za sztukę, poleca

Nożyce do szpalerów i róż.

T. Ćmianowski
właściciele: (507)
B. Ziętkiewicz — S. Mińcikiewicz.
Poznań — Bazar — Telefon nr. 565.
Cenniki darmo i franko.

Z księgi mądrości narodów.
Armata jest najlepszą lunetą, przez którą można spokojnie patrzeć w przyszłość.

Pod bardzo korzystnemi warunkami jest w mieście powiatowem
handel pierwszorzędny kolonialny,
łakoci i z destylacyą,
połączony 558
z handlem żelaza i nasion
z wielkim obrotem, wraz z domostwem zaraz do przejęcia. Zaliczka stosunkowo mała, a towary na spłatę.
Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy" pod nr. 369.

Rodak
na obczyźnie, żonaty, z familią, który przez chorobę utracił swój skład kupiecki, a chwilowo znajduje się w bardzo przykrem położeniu, prosi swych kochanych ziomków o pożyczkę lub też wsparcie. Wszystkim, którzy raczą mi dopomódz, składam wraz z familią serdeczne „Bóg zapłać."
Wszelkie datki przyjmuje ekspedycya „Pracy" w Poznaniu, ulica Rycerska nr. 38.

Lekarz (przerywając gadatliwej pacyentce): — Pani daruje, ale już czas przystąpić do konsultacyi...
Mąż pacyentki (do żony): — Widzisz, moja kochana, tak zaimponowałaś twym językiem panu doktorowi, że chciałby go wreszcie... zobaczyć!

Pomocnik handlowy
w 24 roku życia, wolny od wojskowości, biegły w języku polskim i niemieckim, także w korespondencyi, poszukuje zatrudnienia w handlu kolonialnym lub w składzie cygar, przyjąłby eventl. także miejsce wojażera w fabryce cygar.
Oferty pod lit. **J. K. 112** do eksped. „Pracy."

Panienka
z porządnej i uczciwej rodziny poszukuje od 1. 10. lub od 1. 11. miejsca tu lub do Galicyi **do towarzystwa starszej samotnej pani** lub jako 566
towarzyszka podróży.
Łaskawe oferty proszę przesłać do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **A. B. nr. 566.**

Wyroby
gnieźnieńskiej fabryki cygar
cieszą się u każdego znawcy dobrem uznaniem i zdobyły sobie dużo *stałych* zwolenników.
Na próbę polecam fr. pod zaliczką paczkę pocztową zaw.: 100 cygar za mk. 2.40, 2.60, 3.—, 3.40 i 3.60, razem 500 szt. za m.k 15,—; lub: 100 za mk. 2.50, 2.80, 3.20, 3.50 i 4.—, razem 500 szt. za mk. 16.—; albo też: 100 za 4.20, 4.70, 5.—, 6.—, 7.—, razem 500 szt. za mk. 26.90. Przy zamów. proszę podać czy się życzy mały, średni lub duży format i czy mierne, średnie lub lekkie. 507
P. Urbanowski
FABRYKA CYGAR, GNIEZNO.
Za dobry towar dużo uznań piśmiennych.

Po nadzwyczaj zniżonej cenie!
1) Polska w złotym wieku przez J. Moraczewskiego 1 tom. Poznań zamiast 4,50 tylko 1 m., z fr. przesyłką 1,20 mk.
2) Pamiętniki z r. 1809-1830 i 1831 r. przez L. Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich 1 tom zamiast 4,50 m. tylko 1 mk., z fr. przes. 1,20.
3) O upadku przemysłu i miast w dawnej Polsce przez Surowieckiego 1 tom zamiast 6 m. tylko 1,25, z fr. przes. 1,45 m.
4) Żywot człowieka poczciwego przez Reja z Nagłowic 2 tomy str. przeszło 400 zamiast 5 m. tylko 1,20, z przes. 1,40 m.
5) Herby rycerstwa polskiego przez Bartcsza Paprockiego 1 tom duży format przeszło 1000 stron z bardzo wielu rycinami, Kraków 1859 r., zamiast 30 mk. tylko 8 m. (kilka jeszcze tylko egzemplarzy.
6) Piśmiennictwo polskie (Literatura polska) przez L. Łukaszewicza wyd. 3-cie, Poznań, 1866., 60 ark. druku, zamiast 10 mk. tylko 2,50, z fr. przesyłką 2,80 m., przez zaliczkę 3 mk. — poleca
Księgarnia
R. Kamieńskiego i Sp.,
Poznań, ul. św. Marcina 16/17.

Nuty
do 110 pieśni polskich do śpiewu i na fortepian, 300 przeszło pieśni do muzyki
razem 2 zeszyty o 318 stron.
zebrał **Fr. Barański.**
Piękny ten śpiewnik z ładną kolorową okładką kosztuje tylko mrk. 3,75, z przesełką mk. 4,25, w oprawie kartonowej mrk. 4,25, z przesełką mk. 4,75. 386
Nabyć można w **każdej polskiej księgarni** w Poznaniu.

J. K. Jasielski
adwokat ludowy
(pozasł. aktuaryusz sądowy)
w Poznaniu,
Stary Rynek 88 II ptr.
spisuje **kontrakty, skargi,** podania do wszelkich władz **obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych,** reklamacye do podatku i wojskowości **i wykonuje wszelkie prace piśmienne.**

„Justitia"
Bióro informacyjne i komisowe
pośredniczy w wszelkich sprawach.
ul. Wiedeńska nr. 8, I p.
J. N. Szulc.

Browar (g
dobrze zaprowadzony, w mieście większem gimnazyalnem, jest przy zaliczce 25—30,000 marek do sprzedania. Grunt, na którym dwa domy, może być wyzyskany. Bliższe szczegóły udzieli
K. Jasielski,
w Poznaniu, St. Rynek 88.

Pewna egzystencya!
Z powodu stosunków familijnych jest w większem mieście powiatowem w bliskości rynku dobrze zaprowadzony
handel mąki i krupów
z dobrą klientelą zaraz lub od 1 października r. b. do sprzedania. 568
Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **L. E. 100.**

Świetna egzystencya dla Rodaka, większy interes t. zw.
dom towarowy
od 12 lat zaprowadzony i dobrze prosperujący w Poznaniu, jest z powodu innego przedsiębiorstwa tanio do nabycia.
Łask. Oferty przyjmuje eksp. „Pracy" pod lit. **R. R. 109.** 561.

Posady
dla bon
i
wychowawczyń
z doskonałym niemieckim. Pensya 260—310 marek.
Wiadomość:
Karpińska,
Warszawa, Szpitalna 3.

Osoby sumienne
(tylko chrześcianie) mogą łatwo **100 koron tygodniowo** zarobić przez zbieranie zamówień na prawdziwie lekko i wszędzie sprzedajne artykuły. Oferty pod **K. K. 1273** do **Wiednia** (Wien Hauptpostlagernd). 550

Starszy człowiek
z ładnym charakterem pisma poszukuje za skromnem wynagrodzeniem w jakim kantorze lub większem przedsiębiorstwie zatrudnienia. Łaskawe oferty pod liter. **W. T.** do ekspedycyi „Pracy."

Ogrodnik
żonaty w młod. wieku, z małą rodziną, teoretycznie i fachowo wykształcony, praktykował dłuższy czas za granicą, obecnie w miejscu, poszukuje posady. Łask. oferty przyjmuje
St. Polski,
Zagajewic p. Brudnia
(Prov. Posen).

Ogrodnik
żonaty, znający swój zawód dokładnie, obecnie pięć lat w miejscu, poszukuje od 1-go października posady. (g)
Łaskawe oferty uprasza
W. Florkowski,
Gościeszyn
p. Rothenburg a. Obra.

Pomocnik
starszy, rutynowany, inteligentny, z handlu kolonialnego, żelaza i t. d. poszukuje od 1-go Października miejsca; w danym razie mógłby po dłuższym czasie interes takowy objąć. 544
Łaskawe oferty uprasza się pod lit. K. 544 do ekspedycyi „Pracy."

Pomocnika
oraz
ucznia
do handlu bławatów i krótkich towarów przyjmie
Leon Nagajewski
WRONKI. 541

Ucznia
do handlu kolonialnego, win i delikatesów przyjmie natychmiast 533
J. Rzendkowski.
Nakło (Rynek).